

AMANDA CLARK

# Prawo Sullivana

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uporczywy, nasilający się z każdą minutą, ucisk w skroniach nieomylnie zapowiadał nadchodzący atak migreny. Jenny przymknęła oczy, po chwili otworzyła je i ponownie uważnym spojrzeniem obrzuciła wnętrze.

- To tutaj? - Dwunastoletni Chris nawet nie próbował ukryć rozczarowania.

- Ojej! Ale rupieciarnia!

Jenny powstrzymała się od komentarza. Weszła do kuchni, minęła szeroko otwarte drzwi pustej lodówki i kuchenkę z pokrytą rdzą płytą. Przeszła do znajdującego się w głębi dużego pokoju. Przez zakurzone okna salonu w dali posepnie majaczyła ołowiana toń położonego niżej jeziora. Był już koniec czerwca, ale w ten pochmurny dzień wszystko wydawało się szare i ponure., Rozejrzała się wokół. Meble przykryto na zimę, kawałek sklejkki zasłaniał otwór masywnego, zbudowanego z kamienia kominka. Zerknęła do usytuowanych po obu stronach salonu sypialni. Na łóżkach leżały gołe materace, szuflady biurka były wyjęte i odwrócone do góry dnem.

- Po co je tak postawili? - zdumiał się chłopiec.

- Żeby myszy się w nich nie zagnieździły - z daleka usłyszała swój cichy, jakby nierzeczywisty, głos.

- Aha - zmarszczył się z niechęcią. - Okropny tu bałagan.

Zmusiła się, by zachować spokój.

- Tak, ale zaraz coś na to poradzimy - powiedziała z udaną wesołością. -

Zadzwońię do państwa Prestonów, dowiemy się, co się stało. Może przyjadą nam pomóc.

Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę. Odpowiedziała jej głucha cisza.

- Nie ma sygnału. Pewnie jest wyłączony. No nic, jutro to się załatwi. -

Nerwowo zerknęła na stojącego na progu syna. Wyglądał na starszego niż był - wyrosnięty i szczupły, z cieniem goryczy na drobnej dziecięcej buzi. Miała cichą nadzieję, że te wspólne wakacje zbliżą ich ku sobie, że jego oczy stracą wyraz przedwczesnej dorosłości zdobytej na ulicy. - Tak czy inaczej damy sobie radę. Jakoś przeżyjemy dzisiejszą noc.

- Uhm - mruknął, sięgając dłonią, by zapalić światło. Nacisnął przycisk, ale nic się nie stało.

- Uff! - jęknęła Jenny, próbując nie zwracać uwagi na coraz silniejsze pulsowanie w skroniach.

Ogarnęła ją nagła złość. Jak żywa stanęła jej przed oczami telefoniczna rozmowa z ojcem, na którą zdobyła się kilka dni temu.

- Czy moglibyśmy skorzystać z domku nad jeziorem? Oczywiście, jeśli sami się tam nie wybieracie - dodała z wymuszoną uprzejmością. Po drugiej stronie wyczuła pełne napięcia wahanie. Ojciec przez chwilę milczał. Wyobraziła sobie jego postać: przystojny, dostoyny mężczyzna o szpakowatych, zaczesanych w górę włosach i sowim nosie. - Pomyślałam sobie... wydaje mi się, że taki wyjazd dobrze by zrobił Chrisowi - wtrąciła pośpiesznie.

Pominał milczeniem wzmiankę na temat chłopca. Tak jak robił to od dwunastu lat.

- Nie, teraz nie planujemy z Grace wyjazdu do Maine. Wybieramy się tam dopiero pierwszego sierpnia - odezwał się wreszcie.

- Nie ma przeszkód, byś skorzystała z domku, oczywiście, jeśli nie zraża cię samotność - dodał, jakby Chris w ogóle nie istniał.

- Dziękuję - chciała dopowiedzieć „tato”, ale wydało się jej, że zabrzmiało to nie na miejscu. - To będzie mój pierwszy prawdziwy urlop, od kiedy zaczęłam pracę.

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojemu pomysłowi.

- Zadzwoń do Prestonów, żeby przygotowali domek na sezon - odrzekł sucho.

- Świetnie. W takim razie pojawimy się tam za kilka dni... - urwała niepewnie. -

Jak się ma Grace?

- Dziękuję, dobrze.

- Pozdrów ją ode mnie.

Bez pożegnania odwiesił słuchawkę.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Prestonowie nie przygotowali domu na nasz przyjazd - powiedziała głośno. Zmusiła się, by nie poddać się ogarniającej ją goryczy i zniechęceniu. - Ale do jutra powinniśmy tu wszystko wyszykować. Trzeba będzie tylko trochę się do tego przyłożyć.

- Po co myśmy tu w ogóle przyjeżdżali?! - wybuchnął Chris, odwracając się gwałtownie i wychodząc na zewnątrz.

- Chris, zaczekaj! - zawołała za nim, ale już zniknął jej z oczu.

Podeszła do okna. Schodził skarpą w dół. Zatrzymał się na brzegu jeziora. Po chwili nachylił się. Zaczął podnosić z ziemi kamienie i rzucać nimi w wodę. Nie dla zabawy, jak to zwykle chłopcy, ale z dziką furją.

Jenny wzięła głęboki oddech. Musi się opanować, nie może się teraz załamać.

Płacz nic mi nie pomoże, upewniała się w duchu, ściągając pokrowce z mebli w salonie. Ale czarne myśli nie dawały jej spokoju. Czy jeszcze miała za mało problemów? Czy naprawdę w życiu wszystko musi być takie skomplikowane i beznadziejne?

Wyjęła miotłę, schowaną za kuchennymi drzwiami. Zawsze tam stała. To dziwne, że po tylu latach nadal o tym pamiętała. Właściwie W domu wszystko było tak jak dawniej. Grace, druga żona ojca, nie wprowadziła rewolucyjnych zmian, jakich Jenny podświadomie się spodziewała. Dom nadal pozostał takim, jakim go miała w pamięci. Urządzony ze skromną prostotą, bez silenia się na nowoczesność.

Zamiotła podłogę w kuchni. Na generalne porządki przyjdzie pora jutro. Dziś

nie ma na to czasu. Muszą jeszcze pojechać coś zjeść. Wprawdzie wcześniej zamierzała wybrać się po zakupy i przyrządzić coś w domu, ale zmieniła plany. Była niemal pewna, że w butli nie ma gazu. Nagle uderzyło ją okropne przypuszczenie. Podeszła do zlewozmywaka, odkręciła kurek. No tak, wody też nie ma. Została spuszczone na zimę.

Ogarnęła ją bezsilna złość. Podeszła do okna, wyjrzała na stojącego nad brzegiem chłopca. Nadal rzucał kamieniami. Obróciła się na pięcie, pchnęła drzwi.

- Chris, mógłbyś łaskawie przyjść tutaj i trochę mi pomóc? - zawołała niecierpliwie, nie kryjąc irytacji.

Właśnie tego miała tu nie robić. Tak sobie wcześniej postanawiała. To miały być prawdziwe wakacje, czas, w którym oboje mieli zbliżyć się do siebie i na nowo nauczyć się wzajemnych kontaktów. Bez stresów związanych ze szkołą, pracą i życiem w wielkim mieście. Ale zamiast tego znów zwracała się do niego tak jak w Bostonie - ostro i autorytatywnie.

Chris z ponurą miną zaczął wspinać się w stronę domu. Robił to z irytującą powolnością. W tej Samej chwili z zarośli na zakręcie drogi wynurzyła się furgonetka. Samochód podjechał bliżej, zatrzymał się przed domem. Po chwili otworzyły się drzwiczki i z samochodu niespiesznie wysiadł nieznajomy mężczyzna. Włożył ręce w kieszenie i spokojnie popatrzył na dom, Jenny i stojący tuż obok samochód.

- Dzień dobry! - odezwał się przyjaźnie.

Wysoki, dobrze zbudowany, mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Miał gęste czarne włosy, ciemną oprawę oczu, dołek w policzku. Po nim wyskoczyły na ziemię dwa psy: czarny, podobny do labradora i drugi, bez wątpienia mieszaniec, z potężną klatką piersiową i białą strzałką na nosie.

- No, nareszcie! - z ulgą westchnęła Jenny. - Już myślałam, że nikt się tu nie pojawi. Czy mógłby pan skontaktować się z Prestonami?

Popatrzył na nią. Miał ciemnoniebieskie oczy, długie rzęsy.

- Nazywam się Ben Sullivan - powiedział. - Wygląda mi, że chyba jest pani w kłopotach.

- Można to tak określić - odrzekła z wymuszoną swobodą, chcąc ukryć rozpacz, jaką daremnie próbowała stłumić. - Właśnie przyjechaliśmy i wiem, że wszystko miało być dla nas przygotowane. Co się stało z Prestonami? Od lat opiekują się domem. Ojciec zapewnił mnie, że ich powiadomi. Ale nikt tu niczego nawet nie tknął! Nie mam pojęcia, jak... - Urwała, gdy nieznajomy odwrócił się w stronę stojącego z boku Chrisa.

- Cześć! - powitał chłopca.

- Cześć! - odpowiedział z ponurą miną, która zawsze tak ją denerwowała.

Czarny pies podbiegł do Chrisa, trącił pyskiem jego rękę. Chłopiec szarpnął ją w tył.

- Nic ci nie zrobi - uspokoił go Ben. Drugi pies trzymał się za nim, spięty i nieufny.

- Przepraszam - odezwała się Jenny. - Nie przedstawiłam się jeszcze. Jestem Jenny Carver, a to mój syn, Chris. Widzi pan, telefon jest wyłączony, w domu jest potworny bałagan i już zupełnie nie wiem, co...

- Miło mi - niebieskie oczy patrzyły na nią z rozbawieniem.

- Co się stało z Prestonami - zapytała.

- Są w Montanie.

- W Montanie!

- Pojechali na jakiś miesiąc. Ich córka wychodzi za mąż. Potem mają w planie krótką wyprawę po zachodnich stanach. Pani ojciec najprawdopodobniej już ich nie zastał.

I oczywiście ojciec nie uznał za konieczne, by ją o tym uprzedzić. Może nawet nie miał jej telefonu, w końcu niewiele go obchodziła, pomyślała z goryczą.

- Pani jest córką Buzza Carmichaela, prawda? - zapytał, przyglądając się jej uważnie.

- Tak.

- To widać.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Pan Carmichael też lubi, żeby wszystko było zrobione na czas.

Wyprostowała się z godnością.

- Przykro mi, że zawracam panu głowę, ale gdyby zechciał pan udzielić mi pewnej pomocy.

- Oczywiście. W zastępstwie Jacka Prestona przygotowuję letnie domy do sezonu. Ten miał być gotowy dopiero na pierwszego sierpnia, dlatego zostawiłem go na później - wyjaśnił spokojnie, nie ruszając się z miejsca.

- W takim razie, skąd pan wiedział o naszym przyjeździe? - zdziwiła się Jenny.

- Była pani na stacji benzynowej.

No tak. Zupełnie zapomniała, jak szybko w tych okolicach rozchodzą się wiadomości.

- Obawiam się, że jest sporo do zrobienia - westchnęła. - Nie ma ani wody, ani światła, ani telefonu. Nawet nie można niczego ugotować - dokończyła łamiącym się głosem, czując już łzy w oczach.

- Och, to nie jest znowu nic takiego - powiedział spokojnie. Machnął ręką w kierunku jeziora. - Tutaj ma pani mnóstwo wody. Poza tym przywiozłem do picia.

Jenny z wdzięcznością wzięła od niego kanistry.

- Dziękuję. Ale tutaj nie ma... - urwała bezradnie.

- Do kranów płynie woda z jeziora. Nadaje się do wszystkich celów. A pitnej wody powinno wystarczyć.

Sięgnął po plastikowe wiadro i rzucił je chłopcu.

- Może byś przyniósł trochę wody, Chris? - zaproponował. Chris popatrzył na niego z niechęcią, ale ruszył do pomostu. Czarny pies w podskokach pobiegł za nim.

- Wieczorem warto rozpaść w kominku. Po zachodzie słońca robi się chłodno.

Czy zamierza pani korzystać teraz z domku gościnnego?

- Nie, nie będzie mi potrzebny - odrzekła, patrząc na niego z rezerwą, nie mogąc pozbyć się nieufności, charakterystycznej dla mieszkańców wielkiego miasta. Prawdę mówiąc, jeszcze nawet nie dotarła do usytuowanego dalej niewielkiego domku dla gości. Widziała z daleka jego zarys między drzewami. Była to jedyna nowość, wprowadzona w ostatnich latach. Domek, utrzymany w podobnym co duży dom stylu, świetnie komponował się z resztą posiadłości. Zapewne ojciec i Grace często podejmowali tu gości.

- Mam jeszcze coś do zrobienia, ale postaram się, by jutro podłączyli prąd - oznajmił Ben. - Wtedy ruszy pompa i zacznie pracować bojler, więc będzie ciepła woda. Zamówię gaz do kuchenki i zadzwonię, by podłączono telefon. Chris, ciągle z ponurą miną, wychlapując część wody na dżinsy, przydźwigał wiadro i postawił je w kuchni. Od razu wyszedł. Ben patrzył za nim, ale nie odezwał się ani słowem.

- No, to jest woda do mycia - powiedział, kiedy chłopiec zniknął. Zainstalował ażurowe okiennice w salonie. Kiedy skończył, otworzył sięgające podłogi okna. Przesycone sosnowym aromatem powietrze wypełniło pokój. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się świeżym powiewem. Od razu poczuła się lepiej.

Naraz do ich uszu dobiegł głośny plusk. Jenny rzuciła się do okna i z przerażeniem wychyliła w stronę przystani. Czarny pies z hałasem płynął do brzegu, ściskając w pysku patyk. Dotarł na brzeg i otrzepując się gwałtownie, położył zdobycz u stóp Chrisa. W pierwszej chwili chłopiec cofnął się nieco, ale zaraz pochylił się, podniósł patyk i rzucił go na wodę. Pies skoczył bez wahania.

- Rocket uwielbia się bawić. - Głos Bena rozległ się tak blisko, że aż się wzdrygnęła. Odwróciła się pośpiesznie. Dostrzegła napięte mięśnie pod jego kraciastą koszulą. Patrzył na nią z półuśmiechem. Poczuła, że się rumieni.

- Pójdę teraz obejrzeć komin-powiedział.

Ciągle jeszcze czuła się nieco zmieszana, ale z drugiej strony przyjemna była świadomość, że już nie jest zdana tylko na własne siły. Znalazła bieliznę

pościelową, posłała łóżka, powkładała szuflady. Z daleka dobiegało ją pogwizdywanie i ciche podśpiewywanie. Wyjrzała przez okno. Ben poszedł do szopy, wrócił stamtąd, niosąc drabinę. Ustawił ją z boku domu i zaczął wspinać się po szczebelkach. Po chwili nad głową usłyszała jego kroki. Kiedy ponownie weszła do salonu, zdejmował właśnie dyktę osłaniającą kominek. Klęcząc na ziemi, odwrócony do niej tyłem, zamiatał podłogę przed paleniskiem. Przez moment przyglądała mu się w milczeniu.

- Teraz będzie pani mogła rozpalić wieczorem ogień. Zdumiała się. Skąd wiedział, że marzy o tym?

- Dziękuję - wyjąkała. - Boję się tylko, że nie będzie czym palić.

- To żaden problem - odrzekł spokojnie, podnosząc się i wychodząc na zewnątrz, by wynieść śmiecie.

Jenny podążyła za nim. Patrzyła, jak strząsa zawartość szufelki. Przeniosła wzrok na zapatrzzonego w wodę Chrisa. Zza chmur wynurzyło się słońce. Czarny pies już nie pływał, leżał na pomoście.

- Hej, Chris! - zawołał mężczyzna. Chłopiec nawet nie drgnął.

- Pewnie słucha walkmana - szybko powiedziała Jenny. Woląta, żeby go nie angażował, ale Ben już schodził po skarpie w dół. Widziała z daleka, jak rozmawia z chłopcem. Po chwili obaj ruszyli w górę, czarny pies za nimi. Chris szedł bez przekonania, ze słuchawkami na uszach, z posępną miną. Ben zagwizdał na psy. Wskoczyły do samochodu.

- Chris mi pomoże - wyjaśnił. - Zaraz wracamy. Usiadł za kierownicą. Chris dopiero za drugim razem wskoczył na wysoki stopień. Serce się jej ścisnęło. Wydał się jej taki kruchy i bezbronny.

Samochód ruszył wąską drogą. Naraz ogarnęły ją wątpliwości. Dlaczego puściła go z obcym człowiekiem? Nic o nim nie wiedziała. Tyle ostatnio się słyszy strasznych historii. Weszła do domu i zaczęła rozpakowywać bagaże, ale co parę minut nerwowo podbiegała do okna. W dodatku telefon nie działa, nawet nie może zadzwonić na policję. I nie wie, gdzie pojechali...



Odetchnęła z ulgą na widok wracającego samochodu. Szybko cofnęła się, by jej nie dostrzegli. Usłyszała odgłos wykładanego na ziemię drzewa. Biegiem przebrała się ze swojego miejskiego stroju w dżinsy i zieloną grubą bluzę z nazwą bostońskiej drużyny piłkarskiej. Szybko włożyła wygodne sportowe buty i przeciągnęła grzebieniem po sięgających ramion brązowych włosach.

Przelotnie spojrzała w wiszące nad komodą lustro. Delikatnie pociągnęła usta szminką. Oczy w lustrze zamigotały bursztynowym blaskiem.,

Kiedy stanęła na progu domu, Ben popatrzył na nią z niedbałą aprobatą, ale niczego nie powiedział. Razem z Chrisem zaczęli przenosić do domu naręcza przywiezionego drzewa do kominka.

- Powinno wystarczyć na jeden czy dwa wieczory. Usunęła się, by zrobić mu przejście. Skierował się prosto

do kominka. Wprawnie układał polana, przekładając je papierami i drobnymi szczapami. Jenny wyjrzała na dwór. Chris, nadal ze słuchawkami na uszach, opadł na pobliski pniak. Był kompletnie wyczerpany.

- No, chyba dobrze. - Ben podniósł się z podłogi. - Jakoś przeżyjecie dzisiejszą noc. - Umilkł i dodał po chwili: - Gdy pani mąż dojedzie, to narąbie więcej.

Jenny zeszywniała.

- Nikogo nie oczekuję - powiedziała.

- Ach tak. - Popatrzył na nią taksująco. - No cóż, w takim razie musimy inaczej temu zaradzić. A jak głowa? - popatrzył na nią łagodniej. - Przestała boleć?

- Skąd pan wiedział?

- Po zmarszczonym czole.

Jenny mimowolnie sięgnęła ręką do czoła. Po chwili szybko opuściła dłoń i wcisnęła je w tylne kieszenie.

- Nic mi nie jest - oświadczyła.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Każdy, kto przyjeżdża tu na lato, na początku tak właśnie wygląda. Prosto z wielkiego miasta. Pani jest z Bostonu, prawda? -

Spojrzał na napis na jej bluzie.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała oschle, ignorując jego pytanie. - Teraz już z pewnością damy sobie radę.

- Oczywiście - poświadczył z lekką ironią w głosie. - Kiedy już podłączą prąd, zacznie działać telefon i będzie można włączyć przywieziony telewizor, poczuje się pani jak u siebie. Zupełnie jakby nie wyjeżdżała pani z domu. Nawet nie zauważy pani różnicy.

- Ma pan coś przeciwko wygodzie? - zaatakowała, zastanawiając się w duchu, skąd wiedział o tym telewizorze, na który tak się uparł Chris.

- Zależy, co to dla pani oznacza - odparował i odwróciwszy się, ruszył do wyjścia. - Przywiozłem kilka lamp naftowych - rzucił przez ramię.

- Dziękuję - wymruczała.

Ben pchnął drzwi i wyszedł na dwór. Przechodząc obok Chrisa, machnął mu ręką.

- Cześć, chłopcze. Do zobaczenia.

Chris uniósł dłoń. Nic nie powiedział. Ben zawołał psy, wsiadł do auta i po chwili zniknął za zakrętem. Patrzyła za nim z żalem. Mimo wszystko lepsza była jego obecność niż ta posępna cisza i nadąsany, milczący Chris. Przycisnęła palce do skroni, łudząc się, że może w ten sposób złagodzi ból.

Dochodziła szósta, kiedy skończyła myć ogromne okna wychodzące na jezioro.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Zapowiadał się piękny zachód.

Chciałaby Chris był tego świadkiem. Pamiętała, że jako mała dziewczynka siadywała w tym właśnie pokoju i przyglądała się ostatnim chwilom mijającego dnia.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy niespodziewanie dobiegł ją hałas zbliżającego się samochodu. Po chwili silnik zamilkł. Czyżby to znowu Ben? Dlaczego wrócił?

Rzuciła się do drzwi.

Przed domem stał stary, poobijany plymouth. Wsiadła z niego szczupła kobieta ubrana w błękitne dżinsy i powiewną kwiecistą bluzkę. Jej siwe, kręcone włosy od razu skojarzyły się Jenny ze stalowymi wiórkami.

- Pani Carver? Jestem Adele Hazelton. Usłyszałam, co panią tutaj spotkało.

Przywiozłam trochę jedzenia, żeby nieco ulżyć waszemu położeniu.

Jenny nie mogła pozbierać myśli. Czyżby to była sprawka Bena Sullivana? A może po prostu też obejmował tutejszy system przenoszenia informacji? ,

- Dobrze wiem, co to znaczy mieć unieruchomioną kuchenkę - ciągnęła Adele, sięgając po umieszczony na tylnym siedzeniu kosz. - Odczułam to na własnej skórze, kiedy ostatnio huragan zerwał sieć elektryczną. Myślałam, że już tego nie wytrzymam. Dzieci doprowadzały mnie do szału. Nie mogliśmy już patrzeć na kanapki z masłem orzechowym. Pani też ma chłopca, prawda?

- Tak, mam. - Jenny rozejrzała się w poszukiwaniu Chrisa. - Kręci się gdzieś tutaj.

- Och, te dzieciaki! - Adele weszła z koszem do domu. - Wystarczy puścić je na chwilę na dwór, a natychmiast diabeł w nie wstępuje.

Jenny przytaknęła z uśmiechem. Chris dopiero co siedział na brzegu łóżka ze słuchawkami. Adele postawiła kosz na masywnym stole w salonie. Zerknęła na Jenny.

- Pamiętam panią - powiedziała.

Zaskoczyła ją. W końcu dwanaście lat to szmat czasu.

- Tak. Przyjeżdżała pani tutaj z rodzicami na lato. Czasami przynosiłam wam warzywa i owoce z mojego ogrodu. Pani ojciec przepadał za moimi pomidorami.

- Och, rzeczywiście! Teraz przypominam sobie jakieś przepyszne pomidory.

- Nie mogłam dojść do siebie, kiedy dowiedziałam się, że już więcej nie ujrzę pani mamy.

Jenny, milcząc, skinęła głową.

- Teraz widzimy tu pani ojca i jego żonę. Wygląda na bardzo miłą osobę. - Po

krótkim milczeniu dodała: - Ale pani już dawno tutaj nie było.

- Jestem dosyć zajęta - mruknęła Jenny.

- Jasne. Tak to już dzisiaj jest. - Sięgnęła do kosza. - Miałam za mało czasu, żeby przygotować coś bardziej wyszukanego. Jest tylko zapiekanka z kurczaka i kilka domowych bułeczek. Poza tym termos kawy, a dla chłopca mleko. Na deser kawałek czekoladowego ciasta mojej roboty.

Mówiąc, wykladała wszystko na stół. Szykowała się prawdziwa uczta.

- Naprawdę nie wiem, jak mam pani dziękować - wzruszyła się Jenny. - O wszystkim pani pomyślała.

Adele popatrzyła na nią ze szczerym zdumieniem.

- Przecież to nic nadzwyczajnego. Zawsze staramy się spieszyć z pomocą każdemu, kto jest w potrzebie.

Co za skromność! - zdumiała się w duchu Jenny.

- Odwiozę pani z powrotem naczynia - obiecała. Adele zbyła ją machnięciem ręki.

- Niech się pani o to nie kłopotuje. Ben Sullivan mi je podrzuci. Ma tutaj wpaść, żeby sprawdzić, czy pompą dobrze działa i upewnić się, czy dowieźli gaz do kuchenki. - Rozejrzała się po pomieszczeniu. - Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór nie będzie najgorszy.

- Może zechce pani na chwilę usiąść?

- Och, dziękuję, pani Carver, ale muszę już wracać. Moje dzieciaki czekają na kolację.

- Proszę mówić mi Jenny.

- Bardzo chętnie, Jenny. Cieszę się, że tu przyjechałaś.

Może teraz będziemy się częściej spotykać. Mieszkam przy Radford Road, w razie gdybyś czegoś potrzebowała.

Kiedy auto Adele zniknęło za zakrętem, Jenny nakryła do stołu. Chris pojawił się po kilku minutach. Obrzucił stół zdumionym spojrzeniem.

- Myślałem, że pojedziemy do miasta na pizzę - powiedział z wyraźnym

rozczarowaniem.

Jenny wzięła głęboki oddech, postanawiając za wszelką cenę zachować spokój.

- Ja też tak myślałam, ale pewna nadzwyczaj miła pani zatroszczyła się o nas i przywiozła nam te pyszności, więc już nie musimy nigdzie jechać.

Chris podejrzliwie popatrzył na stół.

- Co to jest?

- Zapiekanka z kurczaka i domowe bułeczki. Na deser ciasto czekoladowe.

- Co tam jest w środku?

- Kawałki kurczaka, warzywa i różne inne rzeczy zapieczone pod warstwą ciasta. - Chris bez przekonania dziobał widelcem w talerzu. Spróbowała odwrócić jego uwagę. - Wiesz, pomyślałam sobie, że jutro moglibyśmy wziąć łódkę i opłynąć jezioro.

- Nie wiem, jak się pływa na łódce.

- To nic trudnego. Pokażę ci.

- Nie wiem, czy będzie mi się chciało. Poczwała ogarniającą ją złość.

- W takim razie, na co miałbyś ochotę? Chris wzruszył szczupłymi ramionami.

- Jeśli podłączą nam prąd, mogę oglądać telewizję.

Nic nie powiedziała, tylko wzięła się za jedzenie. Przygotowane przez Adele potrawy były tak smaczne, że nie warto było psuć sobie przyjemności. Nawet Chris przycichł i nie narzekał.

Kiedy skończył jeść, od razu poszedł do swojego pokoju. Jenny wstawiła talerze do zlewozmywaka i, z wiaderkiem w dłoni, poszła po wodę do jeziora. Oceniała, że do zachodu słońca zostało jakieś pół godziny. Wiszące tuż nad horyzontem chmury zapowiadały wyjątkowe widowisko.

Pozmywała naczynia i zostawiła je, by obciekły. Znalazła drugie wiadro, metalowe. Znów poszła po wodę. W powietrzu czuło się już wieczorny chłód. Zamierzała ustawić wiadro przy kominku: woda do mycia ogrzeje się od ognia.

- Chris, chodź tutaj popatrzeć! Zaraz będzie zachód słońca! - zawołała po przyjściu do domu.

Dołączył do niej. Wyglądał blado, zmęczony i znudzony. Jenny wskazała na rozjarzone złotoróżowym blaskiem niebo.

- Czyż to nie jest piękne!

- Uhm.

- Może rozpalimy w kominku? Byłoby przyjemnie.

- Uhm.

Przyniosła z kuchni zapałki i podpaliła przygotowany przez Bena stos. Zmrok szybko ogarniał pokój, robiło się coraz chłodniej. Trzaskające, wesołe płomyki ożywiły salon. Chris wpatrywał się w nie przez kilka minut, w końcu odwrócił się i poszedł do siebie. Jenny nie ruszyła się z miejsca. Chciała powiedzieć coś, co by ich do siebie zbliżyło, ale nic nie przychodziło jej do głowy. A tak bardzo chciała, by znów potrafili się zrozumieć, by tak jak kiedyś, kiedy jeszcze był małym chłopcem, Chris szukał w niej miłości i oparcia.

Położyła się. Nieprzyjemny ucisk w skroniach nie ustawał. Powinnam wziąć aspirynę, pomyślała. Usiadła, próbując przypomnieć sobie, gdzie miała lekarstwa. Jeszcze nie rozpakowała się do końca. Przyniosła wodę z kuchni, ale zapomniała o latarce. Musi pamiętać, żeby jutro ją kupić. Naraz poczuła<sup>^</sup> że to za wiele na jej siły. Przerazał ją długi miesiąc, jaki miała tu spędzić.

Przyjeżdżając do tego domku, popełniła ogromny błąd. Jak zdoła przeżyć ten czas? Jak poradzi sobie z Chrisem? Ale czy powrót do Bostonu byłby jakimś rozwiązaniem? Tam też życie nie jest wolne od problemów. Wtuliła twarz w poduszkę i zaniosła się cichym płaczem.

Chłodne, wieczorne powietrze wpadało przez lekko uchylone okno. Szczelniej otuliła się kołdrą. Skądś z daleka niosły się słabe dźwięki muzyki. Jenny przestała płakać i wsłuchiwała się w nie. Może to z jakiegoś domu nad jeziorem? Pewnie niektórzy już zjechali na lato. Próbowwała rozpoznać melodię. Już prawie się jej udało, gdy nagle muzyka umilkła. Po chwili doleciała ją znowu. Łagodne dźwięki koły jej udrękę, uspokajały. Ból głowy powoli ustępował, rozluźniały się napięte mięśnie. Jenny wyciągnęła się wygodniej, głębiej odetchnęła

przesyconym zapachem sosen powietrzem i, zasłuchana w dalekie tony, usnęła.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po raz pierwszy od bardzo dawna obudziła się wyspana i wypoczęta. Spojrzała przez okno na drzewa i spowite mgiełką jezioro. Znad wody dobiegł ją daleki krzyk ptaka. Podeszła do komody, spojrzała na zegarek. Dochodziła siódmą. Skradając się na palcach, przez uchylone drzwi zerknęła na śpiącego Chrisa. Oddychał głośno, z kołdrą podciągniętą pod brodę.

Pośpiesznie wróciła do siebie, drżąc z zimna, włożyła džinsy i bawełnianą bluzę. Przez kuchnię wyszła na dwór. Odetchnęła rześkim, świeżym powietrzem, przesyconym roślinnym zapachem. Dręczący ją wczoraj ból głowy zupełnie już zniknął. Z prawej strony, między drzewami, dostrzegła zarys domku dla gości. Obejrzy go sobie później. Ruszyła przed siebie, podjazdem prowadzącym do drogi. Zaraz za zakrętem trakt skręcał w lewo i niknął za zasłoną zarośli. W lesie kryło się więcej letnich posiadłości. Niektóre domy były zamieszkane przez cały rok. Kilku mieszkańców pamiętała. Tu w pobliżu mieszkała pani Howell. Kiedy była małą dziewczynką, dostawała od niej ciasteczka. Chodziły do niej z mamą na spacer, mama trzymała ją wtedy za rękę.

Olśniło ją. Pośpiesznie wróciła do domu, wyjęła z szafki kubek i słoik z rozpuszczalną kawą. Odmierzyła pełną łyżeczkę. Możliwe, że po Howellsach nie ma już śladu, chociaż kto to wie? W każdym razie ktoś musi tam mieszkać. I jeśli będzie tak miły jak Adele Hazelton, z pewnością nie pożałuje jej kubka gorącej wody. Wprawdzie pora była bardzo wczesna, ale w tej części świata ludzie wstają skoro świt.

Dom, kiedy się do niego zbliżyła, okazał się inny, niż pamiętała. Wtedy był biały, teraz wykończono go drewnem. Poza tym wydał się jej większy, chyba

rozbudowano go z tyłu. Podeszła do drzwi, zastukała delikatnie. Rozległo się ciche warknięcie psa. Przebiegło jej przez myśl, że przychodząc tu, popełniła błąd.

Otworzyły się drzwi. Na progu stanął Ben Sullivan. Był boso, tylko w dżinsach, z lekko potarganą czupryną. Przez moment patrzyli na siebie bez słowa. Psy radośnie skakały u jego stóp.

- Bardzo przepraszam - odezwała się wreszcie Jenny. - Nie miałam pojęcia, że pan tu mieszka. Myślałam... - Urwała, nie odrywając oczu od jego obnażonego torsu i szczupłej talii.

- Dopiekły pani te warunki, co?

- Boję się, że bez kawy nie starczy mi sił - przełknęła ślinę. - Miałam nadzieję znaleźć kogoś, kto mnie poratuje odrobiną gorącej wody.

Z zaciekawieniem zerknął w jej kubek.

- Rozpuszczalna – skrzywił się z obrzydzeniem. - Napijmy się lepiej prawdziwej kawy - powiedział, robiąc jej przejście.

Trudno było uznać to za gorące zaproszenie, jednak nie miała wyboru, skoro stał, przytrzymując drzwi i czekając aż wejdzie. Jenny rozejrzała się po przestronnym, wypełnionym miękkimi sofami i fotelami salonie. Ściany były zastawione regałami z książkami.

- Kuchnia jest tutaj - poinstruował ją Ben, wskazując obszerne, wyposażone w duże okna pomieszczenie, obudowane mającymi już swoje lata szafkami, z masywnym stołem z litego drzewa i nowoczesnymi sprzętami kuchennymi.

- Ale naprawdę, wystarczy mi tylko trochę wody! - bezradnie zaprotestowała Jenny, naraz czując się bardzo niezręcznie.

Przerażała ją myśl, co mogłaby pomyśleć sobie jego żona, gdyby teraz tu weszła. Ale Ben już gdzieś zniknął. Po chwili pojawił się, tym razem ubrany w bawełnianą bluzę. Włożył też buty. Ciekawe, czy zerwała go z łóżka? Nie, chyba jednak nie. Był przecież świeżo ogolony.

- I tak zaparzam kawę. - Zaczął wsypywać odmierzoną porcję do filtra. - Jak się



pani spało?

- Wspaniale - zawahała się, jednak po chwili usiadła przy stole. Czarny pies przycupnął pod krzesłem, tuż obok jej nóg. Drugi nie ruszał się z kąta, z głową na łapach, ale nie spuszczał jej z oczu. - Pewna bardzo miła pani, Adele, niespodziewanie przywiozła nam jedzenie. To rozwiązało problem kolacji. A potem, kiedy próbowałam zasnąć, skądś z daleka rozległa się muzyka. - Dopiero teraz, kiedy spojrzała w stronę salonu, dostrzegła zainstalowany na półce między oknami sprzęt grający. - Czyżby to od pana?

, - Przepraszam. Nie dałem pani zasnąć.

- Ależ nie. Muzyka mi tylko pomogła.

- Czy to znaczy, że głowa przestała boleć?

- Tak.

- Świetnie. - Podeszedł do szafki i wrócił, niosąc ze sobą domowe bułeczki. - To produkcja Adele. Czasami lituje się nade mną. Robi doskonałe wypieki.

- Prowadzi panu dom? - zapytała, rozglądając się nerwowo, w każdej chwili spodziewając się wkroczenia żony. Dom był starannie utrzymany.

- Nie, sam się nim zajmuję. Adele i jej mąż są moimi przyjaciółmi. - Zajął miejsce na wprost niej. - Obawiam się, że wczoraj byłem trochę szorstki w stosunku do pani. Miałem za sobą męczący dzień i mnóstwo rzeczy do zrobienia. Ludzie z miasta zawsze chcą mieć wszystko gotowe na czas. Powiedział to bez cienia uśmiechu. Miała wrażenie, że nie przepadał za ludźmi z miasta.

Po chwili podniósł się i nalał kawę do kubków. Jenny upiła łyk mocnej, smolistej kawy. Przez chwilę zastanawiała się, po czym stwierdziła:

- Domyślam się, co pan sobie myśli. - Posłał jej zdziwione spojrzenie. Dodała powoli: - Uważa pan, że jestem rozkapryszoną młodą kobietą z Bostonu, córeczką bogatego ojca. Przyzwyczajoną, że spełnia się jej zachcianki. I że jestem nieszczęśliwa, bo nie ma ciepłej wody, nie mówiąc już o kostkach lodu do wody mineralnej perrier.

- No cóż, to jest chyba dość bliskie prawdy? - Uniósł brwi, przyglądając się jej sponad kubka. .

Nie odwracając oczu, mówiła dalej:

- Chce się pan dowiedzieć, jak naprawdę wyglądał mój poprzedni tydzień? -

Upiła kolejny łyk i postawiła kubeczek na stole. - Pracuję w firmie prawniczej w Bostonie. Jednocześnie studiuję wieczorowo. O tym, że będę mogła wziąć miesiąc urlopu, dowiedziałam się dosłownie w ostatniej chwili. To moje pierwsze wakacje, odkąd zaczęłam tam pracować, czyli od trzech lat.

Wychodziłam ze skóry, żeby wykończyć wszystkie sprawy. W środę miałam jeszcze wykłady i egzamin z prawa handlowego. Był naprawdę koszmar, ale jakoś mi poszło, chociaż jeszcze nie znam wyniku. Potem musiałam zadzwonić do ojca, z którym nie rozmawiałam od pięciu lat. Trudno było mi się na to zdobyć, ale zrobiłam to ze względu na Chrisa. Zależało mi, żeby go tu przywieźć. Nie dlatego, że z tym miejscem wiążą mi się miłe wspomnienia z dzieciństwa, ale dlatego, że na nic innego nie mogłabym sobie pozwolić. Gdyby ojciec i jego żona zamierzali tu przyjechać, zostalibyśmy w domu. Ale udało się.

- Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. Nie mogła uwierzyć, że opowiada o tak osobistych sprawach obcemu człowiekowi.

Opuściła oczy. Ben milczał, ale czuła, że przygląda się jej. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Miała pani rację. Miałem o pani zupełnie inne wyobrażenie.

- No, to teraz pan wie.

- Dlaczego pani tak źle siebie traktuje? Zmusza do tylu wyrzeczeń?

- Muszę zapracować na utrzymanie siebie i Chrisa. Chcę dojść do czegoś w życiu.

- Przecież są inne rzeczy, które mogłaby pani robić.

- Chwytałam się różnych zajęć: pracowałam jako kelnerka, pokojówka w hotelu, sprzedawczyni. Mogę liczyć tylko na własne siły.

- Kiedyś miała pani męża. Machnięciem ręki zbyła tę uwagę.

- Oboje byliśmy dziećmi. Właśnie skończyliśmy szkołę. Kilka miesięcy wcześniej umarła moja mama, po jej śmierci ojciec nie mógł dojść do siebie, pograżył się w rozpacz. Prawie się do mnie nie odzywał. Potrzebowałam kogoś... to chyba była główna przyczyna. Zresztą to małżeństwo zaraz się rozpadło. Trwało zaledwie sześć miesięcy, rozwód wzięliśmy jeszcze przed narodzinami Chrisa. - Dodała z niesmakiem: - Mój ojciec przesadnie wziął to sobie do serca. Nigdy mi nie wybaczył, a właściwie Chrisowi, że chłopiec przyszedł na świat. Przez kilka lat próbowałam podtrzymać nasze kontakty, ale nic z tego nie wyszło.

Chris miał jeszcze gorzej niż ja, pomyślała. Nigdy nie poznał swojego ojca; ona sama z trudem przypominała sobie oblicze dawnego męża. Martwił ją fakt, że w życiu chłopca nie istnieje żaden mężczyzna, na którym mógłby się wzorować. Chociaż, oczywiście, był jeszcze Philip...

W ciszy, jaka zapadła, z bolesną jasnością uświadomiła sobie, że oto otworzyła się przed zupełnie obcym człowiekiem. Co się z nią dzieje? Upiła kolejny łyk kawy. Nie miała odwagi spojrzeć na niego.

- A więc ciągle walka - popatrzył na nią badawczo. -I jak? Udaje się?

Twierdzisz, że robisz to dla syna. Jakie są tego efekty?

- Nie zawsze wszystko idzie jak po maśle-mówiła powoli, szukając właściwych słów. - Ale liczę, że kiedy dostanę dyplom, w pracy zaproponują mi lepsze stanowisko. Zacznę dobrze zarabiać, będzie nam łatwiej - wyjaśniła, nie mówiąc jednak wszystkiego. Nie musiał wiedzieć o Philipie i ich planach.

- I wtedy udowodnisz ojcu, że jednak czegoś dokonałaś - skomentował spokojnie, nie spuszczać z niej przenikliwego spojrzenia.

- To już nie twoja sprawa - odrzekła z wymuszoną uprzejmością.

Ben rozłożył ręce.

- Sama o tym zaczęłaś.

- Wcale nie powiedziałam...

- Oczywiście, że nie, ale skoro oświadczasz, że dzwonisz do niego po raz

pierwszy od pięciu lat, to nie trzeba być geniuszem, by wywnioskować, że nie jesteście w najlepszych stosunkach. Zresztą sama to potwierdziłaś. Dlaczego nie spróbujesz zapomnieć o dawnych urazach? Przecież ojciec mógłby ci pomóc.

- Nie mam ochoty o tym mówić.

- Dobrze, nie ma sprawy. - Ben podniósł rękę, poddając się. - Zmieńmy temat. Rozmawiałem wczoraj z firmą telefoniczną. Dzisiaj włączą telefon. Mają też dostarczyć gaz i podłączyć prąd. Wpadnę później do was i uruchomię pompę.

- Dziękuję.

Znów zapadła cisza. Zza okna dobiegał coraz głośniejszy świergot budzących się ptaków. Nieśmiałe promienie słońca przebijały się przez poranną mgiełkę. Ben wstał i obojgu dolał kawy.

- Chciałam przywieźć tu Chrisa - cicho powiedziała Jenny, kiedy Ben znów usiadł przy stole. - Wydawało mi się, że to mu dobrze zrobi. Przyjeżdżałam tu, kiedy sama miałam dwanaście lat. Wtedy było to dla mnie czarodziejskie miejsce. Jeszcze żyła moja mama. Przychodziłam z nią do tego domu.

Mieszkała tu taka starsza pani.

- Pani Howell.

- Pamiętam, że dawała mi ciasteczka. Ben pokiwał głową.

- Kupiłem ten dom po jej śmierci. - Umilkł, po chwili zapytał: - Chris ma dwanaście lat?

- Tak.

- Wygląda na więcej. Dałbym mu piętnaście.

- Jest wysoki jak na swój wiek. Może to dlatego - powiedziała, choć w głębi duszy wiedziała, że prawda jest inna.

Ile by dała, by z buzi chłopca zniknął wyraz przedwczesnej dorosłości i znudzenia, by odzyskał dziecięcą ciekawość i entuzjizm. Ostatnio coraz częściej z niepokojem podejrzewała, że syn coś przed nią ukrywa.

- Tak, to możliwe - zgodził się Ben.

- No, na mnie już czas. Mogłabym wziąć jedną bułeczkę dla Chrisa?

- Proszę bardzo, weź ile chcesz.

- Dziękuję, jedna wystarczy. I tak dzisiaj wybieramy się do miasta po zakupy.

Zawinęła bułeczkę w serwetkę i podniosła się. Na dźwięk odsuwanego krzesła warujący w kącie pies warknął głucho i ruszył w jej stronę. Jenny przeraziła się i potknęła. Ben podskoczył ku niej i obronnym gestem pochwycił, by nie upadła.

- Blaze! Spokój! Siad! - krzyknął na psa, który natychmiast usłuchał.

Przebiegło ją dziwne drżenie, kiedy tak obejmował ją silnymi, opiekuńczymi ramionami. Zdumiała się.

- Przepraszam - odezwał się Ben. - Blaze jest bardzo nieufny. - Powoli rozluźnił uścisk.— Nic ci nie jest?

- Nie, skądże - poczuła, że oblewa się rumieńcem. - Chyba jest dobrym obrońcą.

- Też tak myślę, chociaż nie dlatego go mam. Znalazłem go w lesie. Któryś z letników zostawił go na pastwę losu. Kiedy go zabrałem do domu, był na wpół zdziczały. Trochę się oswoił, ale jest podejrzliwy. Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. <sup>v</sup>

Ruszyła do drzwi, czując wpatrzone w nią czujnie oczy Blaze'a.

- Później pokażę się u was — przypomniał jej Ben. - Sprawdzę, czy bojler działa.

- Dziękuję. To miło z twojej strony - dodała z nagłą nieśmiałością, ciągle jeszcze nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywołał w niej dotyk jego ramion.

Myślała o nim, kiedy wąską ścieżką wracała do siebie. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez ten cały czas Ben ani razu się nie uśmiechnął. I nie powiedział jej niczego o sobie. On tyle o niej wiedział, a ona zupełnie nic. Tylko to, że przygarnął wyrzuconego psa. Chyba wolał pozostawać w cieniu i mieć jak najmniej wspólnego z innymi ludźmi. Zupełnie jak ten pies, pomyślała.

Nagle wróciło do niej wspomnienie chwili, kiedy niespodziewanie znalazła się w jego ramionach, i jej zaskakująca reakcja. Przez tyle lat zdążyła zapomnieć, że istnieją podobne uczucia.

Chris pochłoniął przyniesioną mu bułeczkę w takim tempie, że nie wierzyła

własnym oczom. Ucieszył ją ten nieprawdopodobny apetyt.

- Skąd ją masz? - wymruczał z pełną buzią.

- Od Bena Sullivana. Z samego rana wybrałam się na spacer do lasu. Czemuś mi nie powiedział, że on tak blisko mieszka? To od niego przywieźliście drzewo do kominka?

- Uhm. Chyba tak. Właściwie nie zwróciłem uwagi. Wkrótce pojawił się pierwszy samochód, po nim kolejne.

Dowieziono gaz, podłączono prąd, a w słuchawce znów rozległ się sygnał.

Kiedy wszystkie prace zostały zakończone, Jenny zabrała Chrisa do miasta na spóźnione śniadanie, po którym wybrali się po zakupy. Załadowała do wózka cały stos pudełek z zamrożoną pizzą, jednak nawet to nie rozchmurzyło chłopca. Ciągle pozostawał milczący. Kiedy wrócili do domku, na podjeździe stał samochód Bena. Na ten widok serce jej zadrżało.

- Pójdę podłączyć telewizor - oznajmił Chris, wchodząc do domu.

- Zabierz po drodze trochę zakupów.

Kiedy zniknął jej z oczu, wypakowała resztę wyładowanych po brzegi toreb.

Zerknęła w stronę usytuowanej w połowie skarpy hydroforni. Ben, który akurat pokazał się na progu, pomachał jej ręką.

- Pompa świetnie działa. Naoliwiłem ją i wszystko sprawdziłem. Chciałbym jeszcze zobaczyć krany. Poczekaj, pomogę ci to zanieść.

Wziął od niej dwie ciężkie torby. Niósł je, jakby nic nie ważyły, a przy tym poruszał się tak płynnie i lekko. Sprawdził krany, uruchomił bojler w łazience.

- Bardzo dziękuję - odrzekła z wdzięcznością, coraz bardziej zażenowana jego obecnością. Wprowadzał tyle życia, miała wrażenie, że cały dom koncentruje się wokół niego.

- Jak będę wychodzić, to wyniosę z szopy łódkę - powiedział. - Może będziecie mieli ochotę trochę sobie popływać po jeziorze.

- Pomogę ci.

- Nie, nie ma potrzeby.

Zrobiło się jej przykro, ale nie dała po sobie tego poznać. Skinęła głową. Z sypialni dobiegały odgłosy telewizyjnych programów. To Chris przebiegał po kolejnych kanałach. Ben z pewnością to słyszał, ale nie skomentował.

Stanąła na progu i patrzyła, jak znika w mroku szopy, po chwili wynurza się z niej, niosąc łódkę. Spuścił ją na wodę, przycumował do pomostu. Potem, nie oglądając się w jej stronę, zwinnie wskoczył do samochodu i odjechał.

Ogarnęło ją dziwne uczucie osamotnienia. Zrobił wszystko, co było do zrobienia. Pewnie teraz długo go nie zobaczy. Chociaż to nawet dobrze.

Przecież nie pochwalał jej zachowania. Wcale jej nie lubił, nie podobał mu się sposób, w jaki wychowywała syna. Nie potrzeba jej kolejnej, krytycznie nastawionej osoby. Odetchnęła głęboko. Ruszyła na poszukiwanie wiadra, ścierek i środków do czyszczenia.

Przez kilka następnych godzin pracowała bez chwili wytchnienia. Wypucowała łódzkę, zlewozmywak i kuchenkę, wypakowała kupione produkty. Potem dokładnie przejrzała, co znajduje się w porządnie utrzymanych szafkach. Nie знаła nowej żony ojca, choć od ich ślubu upłynęły już prawie dwa lata. Dostała wtedy jedynie suche zawiadomienie. Wyobrażała ją sobie jako sprawną i dobrze zorganizowaną osobę. Skrótowe informacje, jakie Grace przysyłała jej na początku, kwitowała skapo, i w rezultacie ich kontakty ograniczyły się do gwiazdkowych życzeń.

- Co będzie na lunch? - Chris wynurzył się ze swojego pokoju, kiedy właśnie kończyła sprzątanie.

- Przecież chyba dopiero co jedliśmy.

- Już dochodzi pierwsza! i

Wspólnie przygotowali kanapki i zabrali je ze sobą do salonu.

- Może później pójdziemy popływać? - zaproponowała.

- Woda jest zimna. Sprawdziłem.

- To możemy iść na łódkę. Ben Sullivan spuścił ją na wodę.

Chłopiec wzruszył szczupłymi ramionami.

- Chyba pooglądałam sobie telewizję.

- Przecież to zawsze możesz robić w domu! - Jenny zmuszała się do zachowania spokoju. - Tu jest naprawdę wspaniała okolica i piękne widoki.

- E tam - mruknął, chowając się w swoim pokoju i zamykając drzwi.

Zniechęcona oparła łokcie o stół, zwiesiła głowę.

Po jakimś czasie wyszła z domu. Ścieżką wijącą się między drzewami i obsadzoną paprociami ruszyła w kierunku domku dla gości. Wnętrze było urządzone w podobnym co duży dom stylu. Ściany wyłożono sękatą sosnową boazerią, na podłodze leżały plecione chodniczki. Domek składał się z dwóch pokoików i łazienki. W jednym stało podwójne łóżko, drugi, zastawiony kartonami, chyba służył chwilowo za magazyn.

Popatrzyła na pudła. Na jednym z nich dostrzegła napis „książki”. Zajrzała do środka. Na samym wierzchu leżał jej wysłużony egzemplarz „Kubusia Puchatka”. Otworzyła następny karton. Od razu rzucił się jej w oczy duży, nie znany jej notes, na którym było wypisane jej imię. Kiedy wzięła go do ręki, okazało się, że to album ze zdjęciami. Zamarła, gdy spojrzała na nią Jenny z lat wczesnej młodości. Rozpromieniona, z błyszczącym metalowym aparatem na zębach, z nieproporcjonalnie długimi nogami i włosami związanymi w koński ogon. Były jeszcze starsze zdjęcia: ona w wieku kilku lat, ściskająca za rękę mamę. Łzy napłynęły jej do oczu. Na innym zdjęciu siedziała na rękach młodego, przystojnego mężczyzny o charakterystycznym profilu. Od razu rozpoznała ojca. Szybko zamknęła album. Wspomnienia były zbyt bolesne. Kto poukładał te zdjęcia? Czyżby ojciec? To zupełnie do niego nie pasowało.

Poszła do sypialni, usiadła na łóżku. Była taka znużona. Nie wiedziała, kiedy zapadła w drzemkę. Budziła się i znów zasypiała, próbując odegnąć od siebie dręczące ją zjawy i obrazy. We śnie pojawiał się Ben Sullivan i przeszywał ją spojrzeniem swych ciemnoniebieskich oczu. Stał przed nią z obnażonym torsem, bez uśmiechu, lecz mimo to jego usta miały w sobie tyle uroku. Jego miejsce zajęła nastoletnia Jenny, chuda jak patyk, z metalowym uśmiechem, Z trudem



otrząsnęła się z tego snu. Powinna pójść na spacer. Może uda się jej namówić Chrisa na małą przechadzkę.

Zamknęła drzwi domku, przeszła parę kroków i zatrzymała się. Z daleka doszły ją jakieś głosy. Cicho ruszyła przed siebie, badawczo wpatrując się w przestrzeń majaczącą między drzewami. Ktoś był nad jeziorem. Naraz, w zielonym prześwicie, dostrzegła dwie sylwetki stojące na przystani. Chris i Ben Sullivan. Ben mówił coś do chłopca. Obaj trzymali wędki.

W pobliżu polegiwały dwa psy. Jenny trwała bez ruchu. Wsłuchiwała się w dobiegające tu strzępy rozmowy.

- Usztynij nadgarstek... Staraj się zachować kontrolę nad żyłką... Popatrz, w ten sposób...

Podeszła trochę bliżej.

- Wędkarze twierdzą, że po sposobie zarzucania wędki można poznać charakter. To indywidualna cecha. Chociaż i tak trzeba dobrze opanować podstawy.

Spróbuj jeszcze raz.

Nie posiadała się ze zdumienia, kiedy chłopiec posłusznie cofnął rękę i jeszcze raz zarzucił. Spławik zakołysał się tuż przednim.

- Już lepiej - usłyszała głos Sullivana. - Zaczynasz łapać o co chodzi. Tylko jeszcze staraj się poczekać, aż żyłka za tobą się wyprostuje. Dopiero wtedy prowadź ją przed siebie,

Chłopiec zapytał o coś, czego nie dosłyszała.

- Jasne - odrzekł Ben. - Sam widziałem tu mnóstwo okoni, właśnie przy pomoście. Najlepiej biorą na te muchy.

Chris znów coś powiedział.

- Oczywiście, że można je kupić, ale najlepsze są własnej roboty. Te zrobiłem własnoręcznie.

- Sam je zrobiłeś? - Chłopiec zawołał z takim niedowierzaniem, że tym razem Jenny doskonale go usłyszała.

- No pewnie. Spróbuj jeszcze raz. Powinna tak sięść na wodzie, jak prawdziwa

mucha. Żeby ryba dała się nabrać. I pamiętaj o nadgarstku.

Jenny powoli ruszyła w stronę jeziora. Byli tak zajęci, że nie zauważyli, kiedy się zbliżyła. Dopiero kiedy psy zaczęły cicho powarkiwac, obaj odwrócili się jednocześnie. Chris, zaaferowany tym co robi, spojrzal na nią tylko przelotnie. Znow poczuła się nieswojo, kiedy Ben popatrzył na nią bez uśmiechu.

- Chyba nigdy nie zdołam się zaprzyjaźnić z twoimi psami - powiedziała z wymuszoną swobodą.

- Blaze, spokój! - rozkazał. Nadal na nią patrzył. - Miałem rano zapytać, czy nie przeszkodzi ci, jeśli czasem skorzystam z tego pomostu, ale wypadło mi z głowy. Zwykle przychodzę tutaj, bo sam nie mam dostępu do wody. Zazwyczaj nikogo tu nie ma.

- Bardzo proszę, kiedy tylko zechcesz.

W głowie się jej kłębiło. Do tej pory nie otrząsnęła się ze zdumienia, w jakie wprawił ją wyraz twarzy syna. Był naprawdę przejęty. Tak bardzo chciał poznać tajniki wędkowania. Winna była wdzięczność Benowi, że zechciał poświęcić chłopcu swój czas. Jak on tego dokonał, że zdołał oderwać go od telewizora? Z drugiej strony czuła, że Ben potępia sposób, w jaki wychowuje syna. Szkoda mu Chrisa i chce mu to wynagrodzić, wciągnąć w świat męskich zajęć i zamiłowań. Pewnie wydaje mu się, że wystarczy przez kilka minut pobawić się wędką, by wszystko wyprostować. Chociaż nie można zaprzeczyć, że chłopcu jest to potrzebne. Chris nigdy nie zetknął się z własnym ojcem ani jego rodziną, która od początku była przeciwna ich małżeństwu. Jej ojciec również go nie zaakceptował.

Chłopiec znow zarzucił wędkę, tym razem znacznie lepiej.

- Robisz postępy ni pochwalił go Ben.

; - Mamo, zobacz co jest w tym pudełku — z ożywieniem zwrócił się do niej chłopiec. - Popatrz, Ben sam to zrobił.

Jenny podniosła płaskie plastikowe pudełeczko. Zajrzała do środka i wstrzymała dech. W małych przegródkach leżały wykonane z kawałeczków jedwabiu,

złotka i piórek sztuczne przynęty w kształcie barwnych muszek. Każda z nich śmiało mogła uchodzić za dzieło sztuki.

- Każda z nich ma swoją nazwę - poważnie poinformował ją Chris.

- Naprawdę - potwierdził Ben.

Patrzyła na jego długi opalony palec, którym po kolei wskazywał przynęty i poczuła ogarniające ją dziwne ciepło. To jego obecność wywierała na nią taki wpływ, któremu ciało nieświadomie ulegało, choć umysł nakazywał jej co innego. Chris znów zarzucił wędkę. Robił to coraz lepiej. Niezręczność w wykonywaniu codziennych prac, która tak często ją denerwowała, teraz zniknęła, jakby nabrał pewności siebie. I znów mężczyzna zatriumfował nad kobietą, z goryczą pomyślała w duchu.

- Och! - z przejęciem zawołał Chris. - Zobacz, co to jest? Ben, uważnie popatrzył na drżącą w wodzie żyłkę.

- Masz branie.

- To ryba? Złapałem rybę?

- Jeszcze nie, ale masz szansę. Podciągaj powoli, bardzo łagodnie. Nie szarp, bo się zerwie z haczyka.

Przyglądała się, jak Ben, stojąc tuż przy chłopcu, podpowiada mu kolejne ruchy i dodaje odwagi. Westchnęła. Czy mogła mieć mu to za złe?

W zamyśleniu patrzyła na wydłużające się cienie. Nie szczędziła podziwu, kiedy Chris wyciągnął rybę. Znów zarzucili wędki. Tym razem Ben złapał okonia.

- No dobrze - powiedział. - Na dzisiaj koniec.

- Nie łowimy więcej? - Chris nie ukrywał rozczarowania.

- Dzisiaj już nie. Te dwa w zupełności wystarczą na kolację. Podstawowa zasada: nigdy nie łowić więcej, niż da się radę zjeść. A jeśli już tak się stanie, to należy wypuścić rybę z powrotem.

- To jest takie prawo? - zainteresował się Chris. - Że musisz je wyrzucić?

- To pierwsze prawo Sullivana - odrzekł Ben. - A poza tym nie chodzi o to, żeby je wyrzucić. Trzeba bardzo ostrożnie wpuścić je do wody. No dobrze, teraz

weźmy się do roboty. Trzeba je oczyścić.

Jenny popatrzyła na ryby.

- Dla nas dwojga to będzie za dużo. - Zawahała się.

- Może zostaniesz z nami i pomożesz je zjeść.

- No, co ty na to? - ucieszył się chłopiec.

- Zgoda - przystał Ben. ~ Zostanę - dodał, patrząc na nią i na mgnienie przytrzymując jej spojrzenie.

Zmieszła się.

- Pójdę zobaczyć, co jeszcze przynieść. Możemy upiec je na grillu na dworze.

Kupiłam wczoraj węgiel.

Szła w stronę domu, ciągle jeszcze słysząc jego głos.

- Trzymaj nóż w ten sposób - instruował Chrisa. - Trzeba oskrobać łuski.

Zawsze zaczyna się od ogona w kierunku głowy. Potem...

Rola kucharza ostatecznie przypadła Benowi. Zawinął w wysmarowaną masłem folię pokrojone w plasterki ziemniaki, wymieszane z cebulą i pieprzem, i upiekł je na ogniu. Położył na grillu filety z ryby. Jenny zrobiła sałatkę.

- Będziemy jeść na dworze? - zapytała, kiedy wszystko już było gotowe.

Ben potrząsnął głową.

- Już zapomniałaś, że wieczorem szybko robi się zimno.

- Podniósł głowę i popatrzył na niebo. - Zapowiada się chłodna noc. Myślę, że będzie niewiele powyżej zera. Lepiej chodźmy do domu i rozpalmy w kominku.

Chris, od chwili przyjazdu do Maine naburmuszony i zawzięcie milczący, w czasie kolacji zasypywał Bena pytaniami.

- Skąd tyle wiesz o łowieniu ryb?

- No cóż, wychowałem się tutaj.

- Ale przecież ktoś musiał cię tego nauczyć.

- Przede wszystkim mój tata. No i dziadek. On wiedział wszystko o tutejszych lasach, jeziorach i całej okolicy.

Jenny usiadła wygodnie i z apetytem, który ją samą zaskoczył, pochłaniała

przyrządzone potrawy. Były pyszne! Milcząco, spoglądała na współbiedniaków i przysłuchiwała się ich rozmowie.

Po kolacji Chris wciągnął bluzę i popędził na pomost, z psem depczącym mu po piętach. Zaraz potem rozległ się głośny plusk

- to Rocket skoczył do wody za rzuconym patykiem.

Jenny i Ben nie ruszali się od stołu. W przyjaznej ciszy patrzyli na zniżające się tuż nad powierzchnię jeziora słońce. Niebo zapłonęło blaskiem zachodu. Jenny rozluźniła się, ustąpiło poprzednie napięcie.

- Przyjemnie popatrzeć - zauważył Ben, przyglądając się jej uważnie. Dostrzegła dziwne iskierki w jego oczach.

- Wiesz, właśnie przyszło mi na myśl... - Urwała na moment. - Jestem tu od dwudziestu czterech godzin i dopiero teraz udało mi się odprężyć. Mam takie wrażenie, jakby naraz Boston, praca i studia, jakby to wszystko było zupełnie nierzeczywiste i bez znaczenia.

Po raz pierwszy na jego twarzy dostrzegła lekki cień uśmiechu.

- Życie w wolniejszym tempie ma swoje plusy - odparł.

- To miejsce dobrze na ciebie podziała, jeśli tylko zechcesz spróbować.

- Oczywiście - potwierdziła skwapliwie. - Będziemy tu przecież mniej więcej miesiąc.

-\* Miesiąc? - powtórzył, unosząc brwi. - Potrzeba co najmniej tyle czasu, żeby w ogóle poczuć rytm tutejszego życia.

- I tak powinnam się cieszyć, że mam aż tyle - potrząsnęła głową. - Kiedy pracujesz w mieście, bardzo rzadko się zdarza, że...

- Weźmy na przykład łosia - przerwał jej. - Bywa tak, że pojawia się codziennie na brzegu, niedaleko stąd. Przychodzi napić się wody. Ale zdarza się i tak, że może minąć miesiąc, a wcale go nie zobaczysz. A nawet całe lato.

- No cóż, chciałabym, ale... - Umilkła i po chwili zapytała: — To bardzo odludna okolica. Poza sezonem chyba jest tu zupełnie pusto. Czy nie czujesz się trochę samotny?

Pytanie zawisło w powietrzu. W ciszy, jaka zapadła, słysząc było tylko trzaskanie ognia w kominku. Ben popatrzył na nią wnikliwie, poczuła na sobie to spojrzenie.

- Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem - powiedział cicho. - Aż do teraz.

Podniosła na niego oczy. Patrzył na nią. Chciała uciec wzrokiem, ale nie mogła. Wybawił ją radosny okrzyk Chrisa. Wybiegła przed dom, Ben tuż za nią.

Rocket, który właśnie wyskoczył na pomost, otrząsał się na wszystkie strony.

Chris przypadł do zwierzaka, zagarnął go ramionami i oboje zaczęli tarzać się jak szaleni. Blaze, przyczajony czujnie na brzegu, przyglądał się zabawie.

Jenny, nie odwracając się do Bena, powiedziała:

- Dziękuję ci.

- Za co?

Był tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu.

- Za dzisiejszy dzień. Za to, że pokazałeś mi, jak łowić ryby. Za kolację. To miało dla niego wielkie znaczenie.

- Ja również dobrze się bawiłem. A poza tym każdy chłopiec w jego wieku powinien wiedzieć, jak się łowi ryby.

Wziął ją za ramiona i odwrócił ku sobie. Popatrzył na nią uważnie, pochylił się.

Poczuła dotyk jego ust, tak ulotny i delikatny, że zapragnęła więcej. Ale on cofnął się i powiedział rzeczowo:

- Już lepiej pójdę.

- Czy przyjdiesz jeszcze? Chris byłby zachwycony.

- Będę w pobliżu - odrzekł wymijająco.

Jak to rozumieć? - zastanawiała się w duchu podczas zmywania naczyń. Miała dziwne przeczucie, że kiedy pochylił się ku niej, uderzyła go jakaś nagła myśl. Chyba należał do tych, którzy wolą unikać zobowiązań. Właściwie to upraszcza sprawę. Bezsensowna, wakacyjna przygoda jest ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła. Już i tak ma wystarczająco skomplikowane życie.

Jednak mimo to ciągle nie mogła wyzbyć się wrażenia, że z Benem nic nie jest bezsensowne, a wakacyjny flirt jest czymś, co w ogóle nie wchodzi w grę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wystarczyło jej otworzyć oczy, by uświadomić sobie, że zasnęła. Jasne światło dnia ciepłym blaskiem rozświetlało sosnową boazerię, za oknem ptaki zanosiły się radosnym śpiewem. W Bostonie natychmiast zerwałaby się z łóżka z przerażeniem, ale tutaj niczym nie musiała się przejmować. Zadrżała z zimna, kiedy owiało ją rześkie poranne powietrze. Ponownie otuliła się przyjemnie nagrzaną kołdrą. Poleży sobie jeszcze kilka minut. Jak żywa stanęła jej przed oczami wczorajsza scena na ganku, delikatny dotyk ust Bena. To tylko przyjacielski pocałunek, pomyślała. Ale czy coś takiego jest możliwe między mężczyzną i kobietą? Jeśli rzeczywiście to nie było nic więcej, dlaczego samo wspomnienie burzy jej krew?

Dopiero teraz dotarł do niej rytmiczny, powtarzający się dźwięk. Przez chwilę leżała nieruchomo, wsłuchując się i próbując go rozpoznać. Dochodził z zewnątrz. Z daleka dobiegały też czyjeś głosy. Odrzuciła kołdrę i na palcach podeszła do okna. Na skraju polany dostrzegła sylwetki Bena i Chrisa. Rąbali drzewo. Serce zabiło jej mocniej, ale niemal natychmiast ogarnął ją macierzyński niepokój. Chris był za mały, żeby zabierać się za tak niebezpieczne zajęcia. Nie potrafił obchodzić się z siekierą, tylko patrzeć, jak zrobi sobie krzywdę. Ale powstrzymała cisnące się jej na usta wołanie, zamiast tego patrzyła jak zauroczona.

- Mój dziadek zawsze powtarzał, że dobre drzewo grzeje cię dwa razy - mówił Ben. - Najpierw, kiedy je rąbiesz, i później, kiedy je spalasz.

- Uhm, noce są tu zimne - powiedział Chris.

- Tak. Dlatego lepiej przygotować spory zapas. Macie zostać tutaj miesiąc, więc na pewno się przyda.

- Czy twój dziadek znał się też na tych rzeczach?

- Masz na myśli przynęty? Jasne, to on mnie nauczył. Zresztą niektóre jego narzędzia służą mi do tej pory. Na przykład imadełko.

- Co to jest?

- To takie małe urządzenie, którym przytrzymuję sobie korpus muchy. Bardzo ułatwia pracę.

Rósł stos równych polan. Powietrze pachniało zapachem świeżego drzewa.

Rocket, trzymając się kilka kroków w tyle, rozglądał się leniwie wokół. Blaze, nieco dalej, wodził wzrokiem za każdym ruchem siekiery. Jenny nie wierzyła własnym oczom. Nie mogła pojąć, jak to się stało, że Chris sam z siebie, bez proszenia i gróźb, wstał o tak wczesnej porze.

- Trzymaj tutaj, za koniec trzonka - instruował chłopca Ben. - To siekiera ma pracować, nie ty. I cały czas musisz dokładnie widzieć, co robisz. Z narzędziami zawsze trzeba zachować wyjątkową ostrożność.

Dostrzegła, że Chris mocniej zacisnął trzymającą trzonek dłoń.

- No, teraz lepiej. Popatrz, tutaj jest sęk. Widzisz? Nie próbuj w niego uderzyć, ostrze może odskoczyć. Uderz obok.

- Dobra. - Rozległo się jedno uderzenie, potem następne, i na ziemię upadł odrąbany kawałek drzewa. - Może teraz weźmiemy ten duży kloc?

- Nie, do czegoś takiego trzeba podejść inaczej. Musimy go najpierw rozłupać. Potrzebny nam będzie ten duży drewniany młot i klin. Weź...

- Dzień dobry! - Jenny wychyliła się z okna.

Obaj odwrócili się do niej, poranne światło załśniło w ciemnych włosach Bena, podkreśliło jego muskularny tors.

- Cześć! W samą porę - rozjaśnił się Ben, a ona zaniemówiła. Nie zdążyła się jeszcze oswoić z tym jego uśmiechem.

- Jedliście już śniadanie? - zapytała bez tchu.

- Ja tak, ale mój asystent już się dopomina.

- No tak! Mamo, kiedy będzie śniadanie?



- Za pięć minut!

Biegiem wzięła prysznic, włożyła dzinsy, bladoniebieski podkoszulek i czerwony sweter. Pośpiesznie wyciągnęła z lodówki sok pomarańczowy i mleko, wyjęła z szafki płatki i nastawiła wodę na kawę. Stała na progu i pomachała ręką.

Chris z wilczym apetytem rzucił się na jedzenie. Jenny podała Benowi grzanekę i naląka kawy. Czuła na sobie jego wzrok.

- Pewnie już zgłodniałeś. - Postawiła przed nim dżem.

- Nie tak bardzo, ale z przyjemnością zjem.

- Jak to się stało, że zaczęliście tak wcześnie? - Przysiadła, stawiając przed sobą kawę. Popatrzyła na Chrisa. - Umówiliście się wczoraj?

Chłopiec skinął głową, przełknął resztę mleka i sięgnął po grzanekę.

- Ben powiedział, że przyjdzie rano, bo musimy zrobić większy zapas drzewa do kominka.

- I sam się obudziłeś?

- Jasne.

Ben popatrzył na chłopca.

- Obudził go wewnętrzny zegar.

Jenny z niedowierzaniem pokręciła głową.

- W domu to mu się nigdy nie zdarza. Zwłaszcza kiedy ma iść do szkoły.

Obaj jednocześnie wzruszyli ramionami. Jenny wybuchnęła śmiechem. Chris wytarł serwetką usta i podniósł się.

- Idę na dwór - oznajmił.

- Wstrzymaj się z rąbaniem, aż przyjdę - poprosił Ben.

- Dobra. Pójdę teraz porzucać Rocketowi patyki. Już na mnie czeka.

Pchnął drzwi i zniknął. Jenny wstała i przyniosła dzbanek z kawą.

- Boisz się, że bierze do ręki siekierę? - zapytał Ben. Zdumiała się. Chyba czytał w jej myślach. Naląka kawę do kubków, odstawiła dzbanek.

- Trochę mnie to zaskoczyło - powiedziała ostrożnie, nie chcąc, by uznał ją za przewrażliwioną. - Chyba jest jeszcze za mały, żeby robić takie rzeczy.

Zaległa cisza, przerywana tylko dochodzącym z jeziora pluskiem i krzykami.

- A w mieście? - cicho zapytał Ben. - Czy tam nic mu nie grozi?

Popatrzyła na stół. Nieoczekiwanie znów powróciły do niej wcześniejsze lęki, przypomniała sobie nie przespane noce, kiedy zadreślała się obawą o przyszłość chłopca. Miasto kryło w sobie tyle zagrożeń. Gdyby tylko wiedział, jak często czuła się bezsilna i przerażona...

Znów czytał w jej myślach.

- Niebezpieczeństwa czają się wszędzie - powiedział.

- Możesz zrobić tylko jedną rzecz, żeby czuć się pewniej: musisz być na nie przygotowana. Tak bardzo, jak tylko to jest możliwe. - Wyciągnął rękę przez stół i przykrył nią jej dłoń.

- Z Chrisem nie będzie problemów. To zmyślny chłopiec.

Skinęła głową, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

- Nie martw się tak - powiedział łagodnie. - Przecież chyba nie po to tu przyjechałaś, prawda?

Jenny potrząsnęła głową.

- Nie, tylko czasem uzbiera się za wiele jak na moje siły. Zawsze wszystko spada na mnie. To ja muszę podejmować decyzje, zapewnić nam utrzymanie. Muszę sobie radzić, nie mam wyboru. Ale zdarza się, że jest mi naprawdę ciężko. Rozklejam się i zaczynam litować nad sobą, a tego nienawidzę.

- Od czasu do czasu masz do tego prawo - zapewnił ją. - Zresztą już wczoraj ci powiedziałem, że za dużo od siebie wymagasz. Tu, nad jeziorem, nie możesz się zamartwiać. To drugie prawo Sullivana.

Podniosła wreszcie oczy i uśmiechnęła się przez łzy. Ben cofnął rękę, ale zdawało się jej, że nadal czuje ciepło jego dłoni. Woląta nie zagłębiać się w ten temat.

- Jak myślisz, dlaczego w Maine jeziora nazywa się stawami?

- Niektóre z nich ostatnio przemianowano na jeziora. Zwykle po to, by zwabić turystów. Jezioro podobno lepiej się kojarzy. Zobaczysz, jeszcze trochę i nasze też zechcą przerobić. Wymyślą jakąś bardziej przyciągającą nazwę.

- Po twoim trupie? ~ zaśmiała się Jenny.

- Zgadłaś. - Odsunął krzesło i wstał. - \* Pójdę już. Musimy skończyć z tym drzewem, żeby przejść do dalszego ciągu.

- Dalszego ciągu? - popatrzyła na niego pytająco. Ben uśmiechnął się do niej.

- Obiecałem Chrisowi, że pokażę mu kilka sposobów mojego dziadka na łowienie ryb. Potem chciałby nauczyć się wiosłować.

- No wiesz! - wybuchnęła śmiechem, - Mówisz jak instruktor na obozie młodzieżowym. Przecież masz pracę. Chris nie może zajmować ci tyle czasu. - Podniosła się i zaczęła składać naczynia do mycia.

- Postanowiłem zrobić sobie parę dni oddechu - powiedział Ben. -

Przygotowałem już wszystkie domy na przyjazd letników. Poza tym to nie Chris zajmuje cały mój czas.

Zamarła z filiżanką w dłoni.

- Och, naprawdę ani przez moment nie chciałam...

- To nie było celowe działanie, tego jestem pewien. - Wyjął z jej dłoni filiżankę i odstawił na bok. Położył ręce na jej ramionach i popatrzył na nią przenikliwie. Ciemne iskierki zamigotały w jego oczach. - To było coś w sposobie, w jaki wczoraj przyszłaś i stanęłaś na moim progu z kubeczkim w dłoni. Wyglądałaś tak...

- Bezradnie? - podsunęła mu.

- Nie, nie to miałem na myśli. Raczej wzruszająco. Coś takiego nigdy mi się nie zdarzyło.

- Zwłaszcza o siódmej rano.

- Pora nie była istotna - szepnął, pochylając się ku niej.

Topniała w jego objęciach. Tym razem już nie miała złudzeń: to nie był niewinny, przyjacielski pocałunek, taki jak wczoraj wieczorem. Oboje wkraczali

na nowe, nieznane terytorium. Zarzuciła mu ręce na szyję, zanurzyła dłonie w gęstych włosach. Rozsądek ostrzegał ją, by się opamiętała, zastanowiła, co robi. Przecież prawie wcale go nie zna. No i jest jeszcze Philip. Ale całował ją tak rozkosznie. Zapomniała o wszystkim.

Oderwał wreszcie usta, uśmiechnął się i wyszedł. W niedługi czas potem razem z Chrisem skończyli rąbanie drzewa i gdzieś zniknęli.

Nie chciała rozpamiętywać tego pocałunku. Zajęła się sprzątaniami. Pościeliła łóżka, zamiotła podłogi, przeparała kilka rzeczy. Kiedy wieszala je na sznurze za domem, przemknęła jej przez głowę myśl, że to taka zabawa w dom. Tutaj wszystko wydawało się takie proste, życie ograniczało się tylko do rzeczy podstawowych. Kiedy Ben i Chris wrócili do domu, czekały już na nich przygotowane kanapki.

- Pewnie umieracie z głodu - uśmiechnęła się, przepełniona niespodziewaną radością.

- Możemy je zapakować i zabrać ze sobą - zapytał Ben.

- Oczywiście - odrzekła, ukrywając rozczarowanie. - Chcecie iść od razu?

- Jeśli jesteś gotowa.

- Ja? Zabierzecie mnie ze sobą?

- Jasne.

. Poczwała się uszczęśliwiona. To wszystko było czystym absurdem, ale co z tego. Przez ostatnie dwanaście lat bez przerwy czymś się zamartwiała: o to, co przyniesie jutro, czy uda im się przetrwać, czy właśnie nie popełnia błędu.

Nadszedł czas, by zaczęła robić to, co dyktuje jej serce. Ben przyglądał się jej z uśmiechem.

- Więc jak?

- Jestem gotowa.

Zajęła środkowe miejsce. Chris usiadł na dziobie kajaka, Ben z tyłu.

- Tak złap wiosło. Dobrze. Teraz unieś je, o tak. Zanurz jedną stroną i lekko przekręć, pociągnij mocno.

- To wszystko? - zdziwił się chłopiec.

- Tak. Potem pokażę ci, jak sterować wiosłem. Jeśli nie będziesz miał za dużo pęcherzy - dodał z uśmiechem.

- Dokąd płyniemy - zainteresowała się Jenny.

Ben wskazał ręką na prawo.

- Myślałem, żeby dopłynąć do tamtej plaży. Moglibyśmy zatrzymać się tam na lunch.

Jenny skinęła głową, oparła się wygodniej. Słońce grzało coraz mocniej, musiała ściągnąć sweter. W zamyśleniu patrzyła na szczupłe plecy siedzącego przed nią syna, wiosłującego z zapalem. Z tyłu czuła obecność Bena. Silnymi ruchami wiosel zręcznie kierował łódką.

- Popatrz tam na prawo, na płyciznę - odezwał się cicho Ben, wskazując na kołyszącego się na wodzie ptaka i krążące wokół niego pisklęta.

- Co to jest?

- To tracze. Są trochę podobne do dzikich kaczek. Widzisz tamto wysokie drzewo? Na szczycie jest gniazdo rybołowa.

- Ale ogromne!

- To dlatego, że nie zmieniają gniazd i co roku je powiększają. Można zobaczyć małe. Widzę jedno... może jest i drugie.

- To są kaczki? - zapytał Chris.

- Nie, już bardziej przypominają jastrzębie. Ale tak jak tracze też żywią się rybami.

- Wiesz, wydaje mi się, że to gniazdo było tam już wtedy, kiedy byłam mała - zastanowiła się Jenny.

Mijali kolejne, zatopione w zieleni i cofnięte od brzegu letnie siedziby. Tuż koło nich na wodzie wylądowała para nurów. Ptaki popłynęły po pozostawionym przez kajak śladzie. Przybili do niewielkiej plaży, rozsiedli się wygodnie i zjedli kanapki.

- Zobaczcie! Co on robi? - zawołał nagle Chris.

- To rybołów - wyjaśnił Ben. - Poluje na rybę. Wstrzymali oddech, patrząc, jak ptak raptownie zniża się tuż nad powierzchnię wody, wbija dziób w jej toń i po chwili unosi się z rybą. Załopotwały potężne skrzydła. Rybołów wzniósł się i odleciał w kierunku gniazda.

Chris podwinął dzinsy i zaczął brodzić po płyciźnie. Jenny wyciągnęła się na ziemi, podłożywszy sobie pod głowę zwinięty sweter. Zamknęła oczy, zasłuchiwała się w śpiew ptaków, ciche szemranie wody, łagodny szum kołyszących się gałęzi.

- Aż trudno uwierzyć - wymamrotała, nie otwierając oczu. I tak czuła obok siebie obecność Bena. Zadrzała, kiedy lekko dotknął jej włosów.

- W co trudno uwierzyć?

- Że może być tak jak teraz. Jeszcze trzy dni temu urywały się telefony, a ja nie wiedziałam, w co ręce włożyć, żeby zdążyć wykończyć wszystkie sprawy.

Potem nie mogłam zmrużyć oka. Zupełnie, jakbym znalazła się w innym świecie. - Otworzyła oczy. Oparty na łokciu, przyglądał się jej uważnie. - Muszę to sobie zapamiętać - dodała.

- Co chcesz zapamiętać? - zapytał, przeciągając palcem po jej czole i dotykając policzka.

- Te dni. Każdą chwilę.

- Nawet ten pierwszy dzień?

- Nie był taki zły. Adele nas uratowała.

Odwróciła lekko głowę, by widzieć Chrisa, który teraz rzucał w wodę kamyki. Była oszołomiona. Zaskoczona tym dziwnym pragnieniem, by znów znaleźć się w jego ramionach, odnaleźć jego usta, poczuć dotyk jego silnego ciała.

Ponownie, tak jak rano, wmawiała sobie, że to przecież niemożliwe, że jej coś takiego nie mogło się przydarzyć. Przez tyle lat zachowywała się rozsądnie, panowała nad uczuciami. Jak to się stało, iż naraz co innego zaczęło się liczyć, że narzucone sobie ograniczenia wydały się jej nieistotne? Całe szczęście, że

jest Chris, pomyślała z wdzięcznością. Kto wie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby przyплыnęła tu tylko z Benem? Odetchnęła z ulgą, ale w głębi duszy potajemnie pragnęła tej samotności we dwoje...

Do domu wracali powoli, kajak bezszelestnie przecinał spokojną toń, popychany leniwymi uderzeniami wiosel.

- Jutro znów wypłyniemy - Ben pocieszył chłopca. - Nie wszystko musimy zrobić od razu.

Była mu za to wdzięczna. Jej uwagi nie uniknął grymas na twarzy chłopca, kiedy ujmował w ręce wiosło. Nienawykłe do takiej pracy dłonie miał całe w pęcherzach. Słońce przypiekło mu skórę na karku. Ben zdawał sobie sprawę, że siły dwunastoletniego chłopca są ograniczone. Nie wtrącała się do ich rozmowy, niech sami dojdą do porozumienia.

- Wybierzemy się jutro na ryby? - zapytał Chris, kiedy zbliżyli się do pomostu. - Mieliśmy wypróbować tamtą muchę.

- Jaką muchę? - spytała Jenny.

- Na okonie - wyjaśnił Ben, wyskakując na pomost i zręcznie przycumowując kajak. - Jest zrobiona z korka i kilku piórek. - Wyciągnął ręce, by pomóc jej wyjść. Chris wyskoczył za nią.

- Wiesz co, gdybyś chciał, to moglibyśmy teraz spróbować - z ożywieniem zaproponował chłopiec. - Może udałoby się złapać coś na kolację, tak jak wczoraj. Co byś na to powiedział?

- Wiesz, to zależy od pani domu - zawahał się Ben i popatrzył na Jenny. - Miałabyś ochotę na rybną kolację w towarzystwie dwóch wygłodniałych wędkarzy?

- Daj mi się chwilę zastanowić — udała, że się namyśla.

Stali we trójkę, zadowoleni ze wspólnej wyprawy i udanego dnia. I w tej samej chwili Jenny poczuła, że nie są sami. Pod wpływem impulsu popatrzyła w górę skarpy. Na szczycie ścieżki, tuż na skraju sosen, stał mężczyzna. Patrzył na nich. Serce zabiło jej mocniej, zamarła.

- Philip! - zawołała bez tchu.

Od razu dostrzegła zmianę na twarzy Bena. Był spięty. Chris nawet nie starał się ukryć rozczarowania.

- O jejku! - mruknął ze złością.

Próbowała robić dobrą minę. Zbliżyła się do schodzącego w dół mężczyzny.

Wysoki, z bujną czupryną i szarymi oczami, już z daleka się uśmiechał. Był ubrany w żółtą trykotową koszulkę, beżowe spodnie i mokasyny. Od razu było po nim widać człowieka z miasta.

- Jenny! - Przyciągnął ją do siebie i pocałował na powitanie.

- Philip, powinienes być mnie uprzedzić, że przyjeżdżasz

- powiedziała niepewnie, świadoma obecności stojącego za nią Bena.

Mężczyzna puścił ją, podszedł do chłopca i życzliwie przejechał mu ręką po włosach.

- Cześć, Chris! - powiedział serdecznie. Spostrzegła, że chłopiec uchylił się nieco, uciekając przed ręką Philipa. Jeszcze bardziej się zmieszała.

- Philip Boyd - przedstawił się i wyciągnął dłoń w stronę Bena.

- Ben Sullivan - uścisnął podaną mu rękę.

- Co się stało, że zdecydowałeś się przyjechać? - zapytała Jenny. - Wcale się ciebie nie spodziewałam...

- Stęskniłem się za tobą! Już od trzech dni cię nie ma. Czy to nie jest powód? - Znów ją pocałował.

Wolała nie patrzeć na Bena.

- W takim razie chodźmy do domu - powiedziała z udanym ożywieniem, chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

- Właśnie wróciliśmy z cudownej przejażdżki po jeziorze.

- Ruszyła w stronę domu. Philip nie puszczał jej ręki.

Na podjeździe stał szary saab.

- Przyjechał pan z Bostonu, panie Boyd? - uprzejmie zapytał Ben.

- Proszę mi mówić po imieniu. Tak, postanowiłem zrobić sobie wolne i spędzić



tu weekend. W niedzielę rano muszę wyjechać.

- Jesteś prawnikiem?

- Tak. Jenny ci powiedziała?

- Nie. - Jego twarz nadal była nieodgadniona. Obrzucił spojrzeniem samochód i ubiór Philipa. - Nic mi nie powiedziała. To tylko moje przeczucie.

- Jesteś tu na wakacjach, Ben - przyjaźnie zapytał Philip, ale w jego głosie Jenny usłyszała skrywaną ciekawość.

- Nie, mieszkam tu w okolicy.

- Ben bardzo nam pomógł - pośpiesznie wtrąciła Jenny.

- Gdyby nie on, nie wiem, co byśmy zrobili. Nic nie było przygotowane na nasz przyjazd. - Stali przed domem, nie wiedząc, co dalej zrobić. - Może wejdziemy do środka? - zaproponowała Jenny.

- Dziękuję - Ben potrząsnął głową. - Ale na mnie już czas. Miło mi było cię poznać, Philip.

- Ben, pójdziemy jutro na ryby - prosząco zapytał Chris.

- Wypróbujemy twoją przynętę?

Ben położył mu dłoń na ramieniu.

- Zobaczymy, Chris. To nam nie ucieknie.

- Och, nie chciałbym, żebyście przeze mnie musieli zmieniać plany - pośpiesznie wtrącił się Philip. - Możecie śmiało robić to, co zamierzaliście. Ja i Jenny nie będziemy wam przeszkadzać. I tak mamy sporo do omówienia.

- W takim razie, Chris, jutro do tego wrócimy - oświadczył Ben i ruszył do samochodu.

Ze ściśniętym sercem patrzyła za jego oddalającą się sylwetką. Jego płynne ruchy były jej już tak znajome.

- Wygląda na fajnego faceta - powiedział Philip, kiedy samochód zniknął za zakrętem.

Weszli do domu. Chris od razu poszedł do siebie, z hukiem zatrzaskując drzwi.

Po chwili dobiegły stamtąd odgłosy telewizora.

- To prawda. Wiele zrobił dla Chrisa: pokazał mu, jak się łowi ryby i różne takie rzeczy. - Wydawało się jej, że zabrzmiało to sztucznie, ale Philip niczego nie zauważył.

- Tutejsi ludzie z pewnością znają się na tym - przytaknął od niechcienia.

Rozejrzał się po salonie. - A więc to jest kryjówka słynnego Carmichaela.

Chyba wiesz, że w prawniczym świecie Bostonu zaproszenie do tego miejsca ceni się na wagę złota.

- Mogę się tego domyślać - skrzywiła się, dobrze wiedząc, jak upragnione byłoby to dla niego wyróżnienie.

- Widać, że twój ojciec docenia klasyczną prostotę. Sam jest właśnie taki. Z tego, co o nim słyszałem - dodał z naciskiem. Popatrzył na nią z przesadną powagą. - Jenny, czy nie sądzisz, że dobrze by się stało, gdybyście się w końcu pogodzili?

Wzięła głęboki oddech. Nie powinna źle go oceniać tylko dlatego, że tak bardzo marzył, by zwracać się do jej ojca po imieniu. W gruncie rzeczy Philip był naprawdę porządnym człowiekiem. Pracowitym i życzliwym dla ludzi. A poza tym kimś rzeczywistym. Człowiekiem z jej świata. Ben był jak ogień. Niósł w sobie życie. Znał las, potrafił łowić ryby i posługiwać się siekierą, obserwować rybołowy i czekać na przyjście łosia do wodopoju. Ale jego świat kończył się dla niej za miesiąc. Znów wróci do miasta, do pracy z Philipem. Tyle czasu i wysiłku zainwestowała w zdobycie zawodu prawnika. Niewiele zostało do otrzymania upragnionego dyplomu. Musi dalej iść drogą, jaką sobie wytyczyła. Z Philipem mają tyle wspólnego. Kiedy się pobiorą...

- Myślę, że oboje z ojcem dobrze się rozumiemy - powiedziała, przerywając potok kłębiących się myśli. - Może tak nawet jest lepiej, bo nie wchodzimy sobie w drogę.

- Nie będę się z tobą spierać. Za bardzo się cieszę, że jesteś ze mną - dodał, biorąc ją w ramiona. - Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem.

Uśmiechnęła się do niego.

- Ja też - szepnęła, prosząc w duchu, by niebiosy wybaczyły jej to kłamstwo.

Po chwili Philip odsunął się nieco.

- Pójdę po moje rzeczy.

Z trudem pokryła zmieszanie.

- Och nie, Philip - powiedziała szybko - nie tutaj. A kiedy popatrzył na nią ze zdziwieniem, dodała: - Zaraz za drzewami jest śliczny domek dla gości.

- Domek dla gości? - Poczł się urażony.

- Pokój Chrisa jest tuż obok mojego, czułabym się niezręcznie.

- No wiesz, Jenny. - Popatrzył na nią z niepokojem. - No dobrze, niech będzie, jak sobie życzysz.

- Zaraz zaniiosę czystą pościel. - Z westchnieniem ulgi pobiegła do szafy.

Kiedy już leżała w łóżku, nie mogła przestać myśleć o minionym wieczorze.

Podczas kolacji Philip robił co mógł, by podtrzymać rozmowę. Chris siedział z ponurą miną, a kiedy tylko skończył jeść, bez słowa wstał i ruszył do siebie.

Ostro przywołała go do porządku.

- Chris! Chyba zapomniałeś powiedzieć dobranoc.

- Dobranoc - mruknął takim tonem, że pożałowała, iż go zawróciła.

Znów się o niego martwiła. Kiedy po kolacji siedziała z Philipem przed kominkiem, przyjrzała mu się z uwagą. Był dla niej oparciem, wiedziała, że może na niego liczyć. Przy nim będą bezpiecznie - i ona, i Chris. Przecież to jest ważne. I tego im potrzeba. Mimo to... Znów przewróciła się na drugi bok. Czyż mogła z ręką na sercu przysiąc, że kiedykolwiek czuła się bardziej bezpieczna niż dzisiaj, w tym kruchym kajaku, prowadzonym pewną ręką Bena? Na czym w takim razie polega bezpieczeństwo, jak je określić?

Philip opuścił ją wcześniej, bo wymówiła się zmęczeniem. Z westchnieniem odszedł dróżką między drzewami. Jenny przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć, Dobiegł ją daleki odgłos grzmotu. Czyżby nadciągała burza?

Wsluchiwała się w ciszę, kiedy nieoczekiwanie usłyszała coś jeszcze. Ledwie uchwytnie, słabe dźwięki muzyki niosły się w wieczornym mroku, sączyły przez

liście drzew. Zastłuchała się w nie. Wreszcie spłynął na nią sen.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pijąc kawę, patrzyła na pomost, na którym Chris ćwiczył zarzucanie wędki. Znad jeziora podnosiła się poranna mgła. Chłopiec znów zamachnął się, żyłka poszybowała w dal, plusnęła o wodę. Z każdym rzutem nabierał wprawy. To pewnie wędka Bena, pomyślała.

Na moment zamknęła oczy. Jak to się stało, że zafascynował ją ktoś taki jak Sullivan? Całe jej życie było związane z miastem, tam była przyszłość jej i Chrisa. Nie powinna ulegać czarowi tych ciemnoniebieskich oczu i wygiętych w uśmiechu ust, których dotyk burzył w niej krew. Otworzyła oczy, wzięła głęboki oddech. Już od wielu miesięcy snuli plany z Philipem. Mieli ze sobą tyle wspólnego, łączyła ich praca i sukcesy. Dobrze się czuli ze sobą. Czy to nie wystarczy? Jasne, że tak, stwierdziła stanowczo.

By odwrócić myśli, popatrzyła w niebo. Ciekawe, jaka dziś ustali się pogoda? Jeśli chmury się nie podniosą, to chyba będzie padać.

- Dzień dobry! - trzasnęły otwierane drzwi i na progu pojawił się Philip.

Pomachała mu ręką.

- Kawa jest w dzbanku na szafce. Nalej sobie. Zniknął w środku, po chwili dołączył do niej. Dzisiaj był

w dzinsach i bawełnianej bluzie. Pochylił się ku niej, musnął jej policzek i usiadł obok. Miał lekko potargane włosy.

- Jak ci się spało? - zapytała Jenny.

- Świetnie. - Westchnął głęboko. - Wprawdzie dokuczał mi trochę chłód i samotność, ale jednak zasnąłem.

- Przecież dałam ci dodatkowe koce! - obruszyła się.

- Nie chodziło mi o taki chłód... Pośpiesznie zmieniła temat. ,

- Mam nadzieję, że nie będzie padać przez cały dzień.
- W radiu zapowiadali przelotne opady. No tak, to cały Philip, pomyślała.
- Nic nie szkodzi - zapewniła go. - I tak jest mnóstwo rzeczy, jakie możemy robić. Wokoło jest kilka miasteczek, gdzie z pewnością znajdziemy ciekawe antykwariaty.

Philip powoli popijał kawę. Ruchem głowy wskazał na Chrisa, uparcie ćwiczącego rzuty.

- Tylko mi nie mów, że musimy sobie coś złowić na śniadanie.
- Och, głuptasie! On się tylko wprawia. Ben Sullivan pokazał mu jak. - Przestraszyła się, że z jej twarzy wyczyta uczucia, jakie obudziło w niej wspomnienie Bena, ale Philip niczego nie zauważył.
- Ben... - przypomniał sobie. - To ten facet stąd. No tak, na pewno zna sporo sztuczek.
- Pójdę naszykować ci śniadanie - podniosła się z udanym ożywieniem. - Posiedź tu i wypij w spokoju kawę.
- Wiesz, nie powinienem zawracać ci tu głowy problemami zawodowymi, ale kiedy wrócisz do Bostonu, będziemy musieli od razu zająć się sprawą Avery.
- Uhm. Nawet przywiozłam tu sobie część materiałów, żeby przejrzeć je w wolnej chwili. - Dotychczas ani przez moment o nich nie pomyślała. - Chciałbyś rzucić na nie okiem?
- Chętnie - rozjaśnił się. - Zobaczę, czy część moich przypuszczeń znajdzie w nich jakieś uzasadnienie.
- Przyniosę ci je.

Odwróciła się, ale przytrzymał ją.

- Nie, nie przeszkadzaj sobie. Sam je znajdę, powiedz mi tylko, gdzie są. Ty zajmij się śniadaniem.
- Są w moim pokoju. - Wskazała ręką drzwi sypialni. - W teczce na podłodze. Poszła do kuchni. Wyjęła z lodówki jajka, bekon, postawiła na stole koszyczek z bułkami. Po chwili po całym domu rozszedł się smakowity zapach. Philip

buszował w jej sypialni.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Halo! - rozległ się głos Bena. - Czy Chris już wstał? Serce jej zabiło, zapłonęły policzki.

- Dzień dobry! - Podeszła do drzwi z widelcem w ręku. - Tak, nie widziałeś go na pomoście? Zjesz z nami śniadanie?

Miał na sobie granatowy golf i znoszone dżinsy. Włosy zwilgotniały mu od porannej mgły. Chyba przyszedł pieszo, bo nie było widać samochodu.

- Już jadłem. - Unikał jej wzroku. - Obiecałem Chrisowi, że wybierzemy się dzisiaj na ryby. Wprawdzie pogoda jest niepewna, ale to nie przeszkadza...

- Cześć, Ben! - zdyszany od biegu głosem powitał go Chris. - Właśnie ćwiczyłem rzucanie wędki.

- To dobrze.

- Wejdźcie do środka. - Przytrzymała drzwi. - Chris, na pewno chętnie coś zjesz. Nie zrobili jeszcze kroku, kiedy z sypialni wynurzył się Philip z papierami w ręku.

- O, cześć, Chris! Cześć, Ben!

- Cześć! - bez entuzjazmu mruknął chłopiec. Ben powitał go uprzejmie, choć jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Philip odłożył papiery i dołączył do grupki przed domem. Popatrzył w niebo.

- Jak myślisz - zwrócił się do Bena - jaka dziś będzie pogoda? Miejscowi ludzie zwykle potrafią to lepiej przewidzieć niż meteorolodzy. - Nim zdążył coś odpowiedzieć, Philip dodał: - Wiesz co, Chris? Zapowiadasz się na mistrza wędki - klepnął go po plecach.

W tej samej chwili Blaze poderwał się z ziemi i skoczył na Philipa, niemal zwalając go z nóg. Ben natychmiast rzucił się do psa, chwycił go za obrozę i odciągnął w bok.

- Blaze! Spokój - rozkazał. Zwrócił się do Philipa:

- Przepraszam za niego. Reaguje nerwowo na niespodziewane ruchy. Nic ci się

nie stało?

- Nie, nic - wyprostował się, strzepnął z bluzy piasek pozostawiony przez psie łapy. —Nic się nie stało - powtórzył, ale patrzył na psa podejrzliwie.

- Czy mogę zabrać dziś Chrisa na ryby - Ben zwrócił się do Jenny - Oczywiście, jeśli nie będzie burzy.

- Tak- odrzekła, pragnąc w duchu, by zechciał popatrzeć jej w oczy.

- Och, super! - radośnie wybuchnął chłopiec, ale Ben już odwrócił się i ruszył przed siebie, psy tuż za nim.

- Zobaczymy się później! - rzucił chłopcu przez ramię.

- Teraz zjedz śniadanie.

Kiedy skończyli jeść i Chris odszedł od stołu, Philip popatrzył na Jenny.

- Słuchaj, nie chciałem poruszać tej sprawy przy chłopcu, ale czy dobrze robisz, puszczając go na łódkę z tym człowiekiem? Przecież prawie go nie znasz.

Znam go tak, że bez wahania zawierzyłabym mu swoje życie. Albo życie Chrisa, pomyślała Jenny.

- Wydaje mi się, że można na nim polegać. - Starła się, by zabrzmiało to bardzo rzeczowo.

-Jednak pogoda jest raczej niepewna i przypuszczam, że burza może nadciągnąć bez uprzedzenia.

- Ben z pewnością bierze to pod uwagę.

- Poza tym te psy. Mogą okazać się niebezpieczne. Są nerwowe i agresywne, nie miałbym do nich zaufania.

Jak wytłumaczyć komuś takiemu jak Philip, że czasami, zupełnie bez powodu, można kogoś obdarzyć bezgranicznym zaufaniem?

- Nie przejmuj się. Mój ojciec zna Bena od lat - uspokoiła go, choć wcale nie była tego taka pewna. Ale dla Philipa to była wystarczająca rękojmia.

- No, jeśli tak... - skapitulował od razu. Wypił resztkę kawy. Zaczął się podnosić. - Chociaż to przypomniało mi o czymś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

- Na jaki temat? - zapytała, zbierając ze stołu talerze.

- Chodzi o Chrisa. Najwyższy czas, żeby go wziąć w karby. Wydaje mi się, że najlepiej i najszybciej podziałałby na niego pobyt w jakiejś naprawdę dobrej szkole o uznanej renomie. Pomyślałem sobie, że kiedy się pobierzemy...

- To go tam wyślemy, tak - przerwała mu, odwracając się z talerzami w dłoniach.

- Hm, tak. To będzie dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Z dala od domu będzie się uczyć w zupełnie innych warunkach i pod fachową opieką. Odniesie z tego same korzyści.

Hamowała się, by nie wybuchnąć. Z jakiegoś powodu ten jego zwrot o „wzięciu w karby” uraził jej nadszarpnięte nerwy.

- Philip, wiem że masz dobre intencje - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa.

- Zdaję też sobie sprawę, że nie zawsze radzę sobie z Chrisem, ale naprawdę nie sądzę, że należy, jak to ująłeś, wziąć go w karby. Zgadza się, że czasami mu się zdarza nieodpowiednie zachowanie, ale to ja jestem od tego, żeby mu wtedy wskazać właściwą drogę. Na pewno nigdzie go nie wyślę. Będzie ze mną.

Philip podskoczył do niej, położył jej ręce na ramionach.

- Jenny, kochanie, przepraszam cię. Nie chciałem, żebyś to tak odebrała.

Wymyślimy coś, zobaczysz. Przecież wkrótce staniemy się rodziną.

Obrócił ją ku sobie i delikatnie musnął jej policzek. Zawsze jest taki delikatny, pomyślała. Zawsze troskliwy, zawsze można na niego liczyć. Więc dlaczego z coraz mniejszym przekonaniem wyobrażała sobie ich wspólne życie, szczęśliwą rodzinę składającą się z nich dwojga i, Chrisa?

Pogoda okazała się znacznie lepsza, niż przypuszczali. Deszcz szybko ustał.

Kiedy Philip skończył przeglądanie służbowych papierów, wybrali się do kilku sąsiednich miasteczek, pooglądać starocie oferowane przez miejscowe antykwariaty i przyjrzeć się architekturze.

Do domu wrócili późnym popołudniem. Jenny podeszła do okna i wyjrzała na



jezioro. W dali, w pobliżu miejsca, w którym wczoraj urządzili sobie piknik, dostrzegła na wodzie zarys łódki. Przelotnie spojrzała na Philipa, zatopionego w lekturze kupionej w mieście gazety.

- Za chwilę wracam - powiedziała i wyszła na dwór. Pobiegła do pomostu.

Niewielka łódka właśnie zbliżała się do brzegu.

- Hej, mamó! - zawołał Chris, gdy tylko dobili. - Poczekaj, zobacz, jakie ryby złowiliśmy! - Ben wystawił skrzynkę i zwinnie wyskoczył z łódki. - Będziemy je smażyć u Bena - wyjaśnił chłopiec, wychodząc na pomost.

- Tak miałaś zapytać? - popatrzył na niego Ben.

- Och, no tak. Mamó, mogę iść?

- Tak, oczywiście, jeśli tylko Ben nie ma nic przeciwko temu.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy stał tak blisko niej. Tak bardzo pragnęła wyciągnąć ku niemu rękę, przesunąć palcami po skręconych od wilgoci włosach.

- Jak udał się dzień? - Po raz pierwszy popatrzył na nią, z ledwie wyczuwalną ironią i uprzejmą obojętnością, która sprawiła jej niespodziewaną przykrość.

- Dziękuję, bardzo dobrze. Pozwiedzaliśmy trochę okolicę - odrzekła z wymuszoną swobodą.

Zrobił zdziwioną minę.

- Doprawdy? Spodziewałem się, że w taką pogodę przyjemniej można spędzić czas w domu.

Wlepiała w niego zaskoczone oczy. Dopiero teraz zaczynało do niej dochodzić ukryte znaczenie tego, co powiedział. Przebiegła jej przez myśl poranna scena, kiedy Ben stał w kuchennych drzwiach, a Philip właśnie wychodził z jej sypialni. Z pewnością był przekonany... Próbowwała wypowiedzieć cisnące się jej na usta słowa, ale zaschło jej w gardle.

- Nałowiliśmy sporo ryb. - Ben nie dał jej czasu na zastanowienie. - Jeśli macie ochotę -to możecie do mnie wpaść na kolację. Wystarczy dla wszystkich.

Zaprasza nas razem, bo wcale go nie obchodzi, pomyślała ze ściśniętym sercem.

Jest mu wszystko jedno. Ale perspektywa wspólnej kolacji, kiedy siedząc obok Philipa będzie musiała patrzeć na Bena, przerażała ją. Nie zniesie takiej męczarni.

- Dziękuję, ale chyba wybierzemy się na kolację do miasta. Jestem pewna, że przed wyjazdem Philip zechce spróbować tutejszych homarów.

- Ach, tak, homarów - uśmiechnął się kpiąco. - Dla większości przyjezdnych to uświęcony rytuał. - Odwrócił się do chłopca. - To jak, współniku, ustalone? W takim razie bierzmy się za sprawienie ryb.

- Dobra. To cześć, mamó!

- Jenny, mogę zostawić moją łódkę przy pomoście - zapytał Ben. - Zwykle trzymam ją u pana McIntyre.

- Ależ oczywiście.

Patrzyła za nimi, jak wspinali się w górę skarpy. Chris, ściskając w ręku wędki, kroczył tuż za Benem. Po chwili zniknęli za zasłoną drzew.

Kiedy wróciła do domu, Philip drzemał z gazetą w ręku. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Kłębiło się jej w głowie. Tak bardzo się starała, by uporządkować swoje życie, by po kolei wypełniać plan, który sobie opracowała. Już wszystko było na dobrej drodze. Aż do dnia, w którym poznała Bena. W tej samej chwili, kiedy ją pocałował, jej hołubione latami plany legły w gruzach. Philip był dla niej oparciem, mogła na nim polegać. I, co najważniejsze, istniał naprawdę. Pasowali do siebie. Przy nim już nigdy nie będzie czuła się sama, zawsze będzie mogła się do niego zwrócić. Uparcie powtarzała to sobie w duchu, odganiając wątpliwości i rozterki. Miłość to jeszcze nie wszystko, przekonywała samą siebie. Już raz odczuła to na własnej skórze. Chociaż tamto to było jedynie szczeniackie zauroczenie, coś zupełnie innego niż te nowe, zaskakujące uczucia, które niespodziewanie spadły na nią z obezwładniającą siłą.

Znów popatrzyła na śpiącego Philipa. We śnie był taki bezbronny. Przecież kochała go. Po prostu istnieją różne rodzaje miłości. Na tej, która go z nim

łączyła, można było budować wspólne życie. A przecież to chyba jest najważniejsze?

Philip poruszył się, otworzył oczy.

- A, jesteś już - powiedział pogodnie. - Chyba odurzyło mnie świeże powietrze.

Wiesz, przyszło mi coś na myśl. Może wybierzemy się gdzieś na kolację? Co byś powiedziała na tego słynnego homara z Maine?

- Bardzo chętnie - przełknęła ślinę. - Świetny pomysł.

Po południu następnego dnia samochód Philipa zniknął za zakrętem drogi. Jenny i Chris machali na pożegnanie. Wymogła to na chłopcu.

- Szkoda, że wczoraj nie przyszłście do Bena na kolację - powiedział Chris, kiedy weszli z powrotem do domu. - Ben przepysznie przyrządził, ryby.

- Nie wątpię.

Z trudem powstrzymała chęć, by wypytać go, o czym rozmawiali i czy Ben wybiera się do nich. Już wcześniej sprawdziła, że jego łódka zniknęła z przystani.

- Spędziłeś z nim przyjemny wieczór, prawda?

- Jasne. On się zna na tylu rzeczach.

- Bardzo się z tego cieszę. Postaraj się zapamiętać sobie wszystko, w domu będziesz mógł do tego wracać myślami.

- Odkręciła wodę i zaczęła myć naczynia, ale coś ją tknęło. Odwróciła się. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, z rękami wepchniętymi w kieszenie. - Chris?

- Nie chcę wracać do domu! - wypalił.

- Nie mamy innego wyjścia. - Postanowiła nie brać poważnie jego nastroju. -

Pomyśl sobie lepiej, ile nowych rzeczy tutaj poznałeś. Nauczyłeś się wiosłować, łowić ryby...

- Ale w domu nie będę mógł tego robić.

Poczuła wzbierającą w niej złość.

- I tak powinniśmy się cieszyć, że udało nam się mieć takie wakacje. Zresztą kto wie? Może je powtórzymy.

Spochmurniał, popatrzył na nią ponuro.

- Zamierzasz wyjść za Philipa, prawda? Nabrzmiałe wściekłością słowa w jednej chwili wzniosły

między nimi mur nie do przebiccia.

- Philip nas kocha. - Starła się, by zabrzmiało to stanowczo i przekonująco - Pragnie, byśmy byli razem, byśmy stanowili jedną rodzinę. Chce się o nas troszczyć. A poza tym to ja podejmę decyzję, nie ty.

- Nie chcę, żeby on się o mnie troszczył - wybuchnął Chris.

- I wcale nie chcę, żebyśmy byli z nim jedną rodziną! - Wybiegł, trzaskając drzwiami.

Odetchnęła powoli, próbując się uspokoić. Cała była spięta. Podeszła do zlewozmywaka, zanurzyła dłonie w gorącej wodzie.

Sprzątnęła w kuchni, zmieniła ręczniki w łazience. Wzięła książkę, ale nie mogła się skupić. Odłożyła ją i wyszła na dwór. Zeszła na pomost i zaczęła przyglądać się pływającej w pobliżu rodzinie traczy. Obserwowanie ptaków pochłonęło ją, ale podświadomie ciągle nasłuchiwała, czy nie dobiegnie jej odgłos samochodu Bena albo jego psów. Niestety, żaden dźwięk nie naruszył przejmującej ciszy. Jenny nie ruszała się z miejsca. Po jakimś czasie chmury przykryły słońce, zrobiło się szaro. Najwyraźniej zbierało się na deszcz.

Powoli wspinała się ścieżką prowadzącą do domu. Pora pomyśleć o kolacji.

Może zrobić pizzę? Chociaż Chris wcale sobie na to nie zasłużył, pomyślała.

Chłopiec przyjął pizzę obojętnie. Jadł w ponurym milczeniu. Kiedy tylko

skończył, zniknął w swoim pokoju. Niemal natychmiast dobiegł ją głos

włączonego telewizora. Jenny westchnęła, zaparzyła herbatę i zabrała ją do

salonu. Zniechęcona osunęła się na kanapę. Ciężkie krople deszczu uderzały o szybę. Wzdrygnęła się. Wstała i zasłoniła wychodzące na jezioro okna. Wróciła

na kanapę, sięgnęła po leżącą obok gazetę Philipa. Zaczęła przerzucać strony,

ale nie docierał do niej sens czytanych zdań. Sprawy, które w Bostonie były dla niej jasne i zupełnie oczywiste, tutaj zdawały się trudne do pojęcia. Odłożyła

gazetę, wyciągnęła się na kanapie i zasluchiwała w szum deszczu.

Przebudziła się nagle i poczuła, że jest jej zimno. W pokoju było ciemno, a deszcz jeszcze przybrał na sile. Drżąc z zimna, podniosła się i zapaliła światło. Naraz poraziła ją cisza panująca w domu. Podeszła do drzwi pokoju chłopca, otworzyła je gwałtownie. Powitała ją ciemność i pustka. Przeraziła się. Rzuciła się do kuchni, zapaliła światło.

- Chris?

Wyszła na dwór, rozejrzała się. Jej samochód zniknął.

Biegiem wpadła do środka, złapała za telefon. Nerwowo szukała skrawka papieru, na którym miała zapisany numer Bena.

- Ben? Tu Jenny. Czy może Chris jest u ciebie?

- Nie. - Zaniepokoił się. - Kiedy wyszedł?

- Nie wiem. Zasnąłam. Kiedy się obudziłam, nie było go... I... mój samochód zniknął.

- Zaraz u ciebie będę.

Czekała na niego przed domem. Zarzuciła na ramiona poncho z kapturem. Po chwili w strugach deszczu dostrzegła światła zbliżającego się auta. Jeszcze w biegu otworzył jej drzwi. Gdy tylko wsiadła, zawrócił i szybko ruszył. Jego ręce mocno trzymały kierownicę, usta miał zaciśnięte.

- Nie martw się, Jenny - powiedział. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie odjechał daleko. Nawet jeśli wyjechał z miasta — to zatrzyma go patrol na autostradzie.

- Ale sam mówiłeś, że wygląda na starszego niż jest.

- Owszem, ale nie aż tak, żeby zwieść policję. Zresztą prawdopodobnie znajdziemy go wcześniej. - Umilkł, zmrużonymi oczami popatrzył na majaczącą w strugach deszczu drogę. Skręcił w prawo. - Nie jest za mały, żeby umieć prowadzić?

Westchnęła ciężko.

- W Bostonie obraca się wśród starszych chłopców. Pewnie od nich się nauczył.

Urwała, po chwili dodała bezbarwnym głosem:

- To moja wina. Zawsze mam za mało czasu. Ciągle albo pracuję, albo się uczę...

- Jenny, przestań obwiniać się o wszystko. Nie słuchała. Dodała pośpiesznie:

- Muszę ci coś powiedzieć. Coś takiego miało miejsce już wcześniej. Już wpadał w tarapaty. Raz to miało związek z samochodem.

- Kradzież?

- Na to wyglądało. On nie prowadził, ale był w środku. Zwolniono go ze względu na wiek - Głos jej zadrżał

- Ben, no i co ja mam teraz zrobić? - zapytała z rozpaczą. Nie odpowiedział jej na to.

- Czy zdarzyło się coś, co go skłoniło do ucieczki? - zapytał. - Może się pokłóciliście?

W uszach ciągle miała nabrzmiąły złością krzyk syna.

- Tak, zgadłeś. Chris nie może pogodzić się z faktem, że nasze wakacje kiedyś się skończą i będziemy musieli znów wrócić do Bostonu. Najbardziej chciałby, żebyśmy tu zostali. Nie może zrozumieć, że to jest niemożliwe - wyjaśniła, zważając, by ani słowem nie wspomnieć o Philipie.

- Rozumiem.

- Dzięki tobie wspaniale spędza tu czas. Nauczyłeś go tylu nowych rzeczy. Nic dziwnego, że chciałby, by to się nigdy nie skończyło.

- Przepraszam. Może niepotrzebnie...

- Nie mów tak, proszę - przerwała mu. - To ma dla niego duże znaczenie.

Problem jest tylko w tym, że nie wiem, co teraz zrobić. Ale to już moje zmartwienie, nie twoje.

Tym razem nic nie powiedział. Nie spuszczał oczu z drogi. Deszcz ciągle padał.

- Modlę się tylko, żeby nie odjechał daleko - wyszeptała Jenny. - Byłaby jakaś szansa, że go znajdziemy.

- Znajdziemy go - zapewnił ją stanowczo.

Zamarła, kiedy parę minut później na poboczu jezdni dostrzegli migające niebieskie światła. Policyjny radiowóz stał obok przekreślonego na bok, wbitego w masę jakichś desek samochodu, który natychmiast rozpoznała.

- O Boże! Ben! - wykrzyknęła, łapiąc za klamkę. Powstrzymał ją zdecydowanym gestem.

- Nic mu nie jest - powiedział. - Stoi obok.

Dopiero teraz w światłach samochodu dostrzegła przemoczonego Chrisa, stojącego obok policjanta.

- Och, dzięki ci Boże! - jęknęła i z ulgą oparła głowę na rękach. Po chwili wyprostowała się, sięgnęła do drzwi.

Ben znów ją powstrzymał.

- Zostań tutaj. Pozwól, że ja to załatwię.

Nim zdążyła coś powiedzieć, wyskoczył z samochodu. Patrzyła, jak podchodzi do policjanta i zaczyna coś mówić. Ben położył rękę na ramieniu chłopca. Nie patrzył na niego, tylko żarliwie coś tłumaczył. Policjant pokiwał głową, krople wody skapywały mu z przeciwdeszczowego kapelusza.

Po chwili Ben razem z chłopcem ruszyli w jej stronę.

- Tam z tyłu powinien być koc. Możesz go podać?

Ciepło otulił chłopca, pomógł mu wsiąść do środka. Usiadł za kierownicą.

- Nic ci nie jest? - zapytała Jenny, ale odpowiedziało jej wrogie milczenie. Naraz rozwiało się gdzieś jej uczucie ulgi, poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

- I co ty sobie wyobrazasz? - spytała ostro - Co chciałeś zrobić?

Wzruszył chudymi ramionami.

- Powinnam wiedzieć, że nie można ci ufać – powiedziała drżącym ze złości głosem. - Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w Bostonie. Zupełnie nie wiem,

dlaczego sądziłam, że tutaj będziesz zachowywać się inaczej. Teraz widzę, że musimy jednak porozmawiać i ustalić nowe zasady.

- Twój samochód chyba nie jest poważnie uszkodzony -spokojnym głosem przerwał jej Ben - To tylko przez te porozbijane deski wyglądało tak źle. Droga była mokra i samochód wpadł w poślizg. Uderzył prosto w stragan pana Hopwortha. Ma kilka porządnych wgnieceń. Policjant ma wezwać pomoc drogową. Szczegółów dowiesz się jutro w sądzie.

- W sądzie - Popatrzyła na niego z przerażeniem. -Przecież on ma dopiero dwanaście lat! Jest nieletni.

- Wiem - łagodnie odrzekł Ben - Powiedziałem to policji, ale w tych stronach nieletni odpowiadają za swoje czyny. Ich rodzice również.

- To był mój samochód - zaprotestowała.

- Tak. Ale została rozbita budka pana Hopwortha.

Z jękiem opadła głową na oparcie fotela. Przez całą drogę nie odezwała się więcej. Deszcz nadal padał. Raz czy dwa zerknęła z ukosa na surową twarz Bena. Pierwszego dnia miał taki sam poważny wyraz. Zniknęła gdzieś istniejąca między nimi sympatia i wzajemne zrozumienie, będące może początkiem przyjaźni. Ale teraz już nie myślała ani o nim, ani o tym, co mogło się między nimi wydarzyć. W tej chwili ważny był tylko Chris. Z rozpaczą zastanawiała się, jak wybrnąć z tego, co nabroił. Coraz bardziej uprzytamniała sobie, że chłopiec potrzebuje męskiej ręki, że brak mu kogoś, z kim mógłby się utożsamić. Takim wzorem stał się dla niego Ben. Zaczął go naśladować, pragnął nauczyć się tego, co umiał Ben. Ale jeden wakacyjny miesiąc niczego nie rozwiąże. Chyba po raz pierwszy w życiu Jenny uświadomiła sobie tę gorzką prawdę. To był prawdziwy problem.

Ukradkiem spojrzała w lusterko. W słabym świetle dostrzegła ponurą, zawziętą twarz chłopca. Skręcili w boczną drogę. Koła zabuksowały w błocie. Ben lekko skręcił kierownicą, zredukował bieg. Samochód posłusznie ruszył do przodu.



Znów jest zupełnie obcym człowiekiem, pomyślała. Jakby tamtego popołudnia nad jeziorem nigdy nie było. Jakby wymazał je z pamięci. I to nie tylko z powodu Chrisa. To przyjazd Philipa wszystko zmienił. Wiedziała o tym już od chwili, kiedy z brzegu zobaczyła jego sylwetkę. Przypomniała sobie tę spokojną pewność, z jaką Philip pocałował ją na powitanie. To zadecydowało. I jeszcze wczorajszy ranek, kiedy stojąc na progu ujrzał Philipa wychodzącego z jej sypialni...

Samochód zatrzymał się przed domem. Chris od razu pociągnął klamkę, wyskoczył i bez słowa pobiegł do swego pokoju. Jenny znużonym gestem podniosła rękę do czoła.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc - Nieoczekiwanie dla niej samej te słowa zabrzmiały oficjalnie i bezosobowo.

Już sięgała do drzwi, kiedy mocno ujął jej dłoń.

- Jenny, nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

Chciałaby, żeby tak było, ale przygniatało ją przekonanie, że w jej życiu już nigdy nic się nie ułoży. Tak bardzo pragnęła, by wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Ale Ben ścisnął jej dłoń tylko po to, by dodać jej siły i otuchy.

- Nie trać wiary w Chrisa - powiedział niemal szorstko.

- To nigdy się nie stanie - szepnęła. - Mimo że teraz najchętniej bym go udusiła.

- Połóżcie się spać. O dziewiątej rano musicie stawić się w sądzie... - Przerwał i po chwili dodał: - Poczekaj, nie będziecie mieli jak dojechać. Może...

- Nie, dziękuję. Nie przejmuj się - wtrąciła szybko. - Już i tak sprawiliśmy ci tyle kłopotu. Znajdziemy jakiś sposób. W mieście na pewno jest przynajmniej jedna taksówka - powiedziała z przekonaniem.

Za nic nie zdradzi, jak bolesna jest dla niej jego bliskość i lęk, że ją odrzuca.

- No, skoro tak - powiedział cicho i zamilkł.

Czuła na sobie jego wzrok. Krople deszczu rozbijały się na szybie, stuknęły w dach samochodu. Ben puścił jej rękę. Odwrócił się od niej, popatrzył przed siebie. Z boku widziała jego profil, ściągnięte usta;

Pchnęła drzwi i wysiadła w noc, nie zważając na ulewny deszcz, niepomna odrzuconego na plecy kaptura, nie czując nawet, jak strugi wody spływają po jej włosach.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Z samego rana chwyciła za telefon.

- Chce pan powiedzieć, że nie ma wolnego kierowcy?
- W tej chwili niestety nie. Kiedy Fred się pojawi, powiem mu, że pani czeka.
- Kiedy to może być?

Sądząc po głosie, jej rozmówca wcale się nie przejął.

- No, w lecie zwykle przychodzi koło dziesiątej. Zimą obsługuje autobus szkolny...
- Czy w mieście jest jakaś inna taksówka?
- Z tego co mi wiadomo, to nie.
- Dziękuję.

Ze złością odłożyła słuchawkę. Zaczęła przemierzać pokój, przyciskając dłonie do skroni, w których znów pojawiło się znajome pulsowanie.

Chris stanął na progu swojego pokoju. Ubrał się w czyste dzinsy i koszulę. Spojrzała na niego przelotnie. Niespodziewanie odżyło w niej wspomnienie sugestii Philipa, by wysłać chłopca do prywatnej szkoły.

- Mamy jak dojechać - potulnie zapytał.
- Na razie jeszcze nie, ale coś wymyślę. - Po chwili dodała:
- Chris, nim wyjdziemy, chciałabym ci coś powiedzieć. Jesteś moim synem i... kocham cię, bez względu na wszystko. - Głos jej zadrżał, opanowała się. - Ale nie mogę tolerować takiego zachowania. Jest absolutnie niedopuszczalne. A nawet jeszcze gorzej: popełniłeś wykroczenie, które podlega karze. Z pewnością

zdajesz sobie z tego sprawę. Jeśli coś takiego jeszcze raz się powtórzy, natychmiast się pakujemy i wracamy do Bostonu. A w domu...

Urwała, bo dobiegł ją dźwięk podjeżdżającego samochodu. Podeszła do drzwi i wyjrzała na dwór. Stary plymouth Adele właśnie się zatrzymywał. Jenny pomachała do niej, jeszcze wzburzona. Adele wychyliła się przez uchylone okno.

- Podobno nie macie jak się zabrać do miasta – zawołała - Jesteście już gotowi? Jenny wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Uff! Zjawiaś się w samą porę! Już nie wiedziałam, co zrobić. Dzięki! -

Odwróciła się do syna. - Chodźmy - zarządziła szorstko.

- Ben do mnie zadzwonił - cicho powiedziała Adele, tak żeby chłopiec jej nie usłyszał. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Takie rzeczy nieraz się zdarzają.

Poczuła, że się rumieni.

- Wiem. Ben bardzo nam wczoraj pomógł. Nie mam pojęcia, jak bym sobie bez niego poradziła.

Adele poklepała Jenny po ręku, dodając jej otuchy.

- Mój siostrzeniec już tyle razy wpadał w kłopoty, że trudno byłoby zliczyć

- powiedziała szeptem. - Wtedy Ben też pomógł mi go wyciągnąć. On już taki jest... - Urwała, bo chłopiec podszedł blisko. - Hej, witaj! To pewnie ty jesteś

Chris - uśmiechnęła się. - Wsiadajcie.

- Pani Hazelton jest taka miła, że podwiezie nas do miasta - wyjaśniła Jenny. Jej złość powoli opadła, a widok przestraszonej buzi syna budził w niej współczucie.

- I tak tam jadę - Zdezelowany samochód Adele zaczął toczyć się drogą, pobrzękując i krztusząc się. - Po tym wczorajszym deszczu zapowiada się chyba piękna pogoda, co?

Przez całą drogę usta się jej nie zamykały.

- W tym roku jagody obrodziły wspaniale. Spodziewam się świetnych zbiorów. Powinny dojrzeć jeszcze przed waszym wyjazdem. Zostajecie tu miesiąc, prawda? Przypuszczam, że w ostatni tydzień lipca będą w sam raz. Jeśli macie ochotę, możecie zebrać ich sobie ile tylko chcecie. Tylko musicie przynieść wiadra. Dam wam znać, kiedy.

- Dziękuję, bardzo chętnie — skwapliwie odrzekła Jenny z udanym entuzjazmem. — Z przyjemnością skorzystamy. Prawda, Chris - spytała, ale chłopiec milczał.

Adele wcale się tym nie przejęła.

- No, to jesteśmy - oznajmiła, zatrzymując się przed niewielkim parterowym budynkiem, przylegającym do poczty. - Drzwi po lewej stronie - rzeczowo poinformowała, sama kierując się pierwsza.

- Adele, jeszcze raz ci dziękuję - Bardzo nam pomogłaś. Teraz już sami damy sobie radę.

- Ależ nie ma sprawy. Zresztą wszystko jest jak trzeba. Ja też idę do sądu - wyjaśniła. - Pracuję tu.

Jenny zatrzymała się i popatrzyła na nią zdumiona. We trójkę weszli do środka. W sali, w której się znaleźli, stało kilka rzędów drewnianych krzeseł, masywny dębowy stół i ustawiony z boku mały stoliczek.

- Poza wami nikogo więcej nie będzie - Adele szeptem powiadomiła Jenny - Sprawy przeciwko nieletnim są zamknięte dla publiczności. Każde postępowanie toczy się oddzielnie i przy drzwiach zamkniętych.

Mimo to wcale nie poczuła się pewniej. Adele zajęła miejsce przy małym stoliku i pośpiesznie zaczęła układać papiery. W pomieszczeniu było dość chłodno: Jenny, ubrana w beżową spódniczkę i granatowy blezer, jedyny w miarę odpowiedni strój, jaki znalazła w walizce, wzdrygnęła się z zimna i dyskretnie zerknęła na zegarek. Za minutę dziewiąta.

- Posłuchaj - półgłosem zwróciła się do syna. - Nie potrafię przewidzieć, co się

będzie działało, ale mam nadzieję, że, bez względu na okoliczności, potrafisz się odpowiednio zachować i...

W tym momencie otworzyły się drzwi.

- Dzień dobry, sędzio Sullivan- powiedziała Adele.

Jenny odwróciła się szybko, obrzuciła wzrokiem wchodzącego wysokiego mężczyznę. Krew szybciej popłynęła w jej żyłach, policzki zapłonęły.

Przechodząc, Ben coś szepnął do Adele. Usiadł za dębowym stołem. Do krzasiastej koszuli miał zawiązany krawat, a dzinsy zamienił na porządne beżowe spodnie.

- Dzień dobry - odezwał się oficjalnym tonem, podnosząc wzrok na Jenny i Chrisa. Po jego twarzy nie przemknął nawet cień uśmiechu.

- Proszę zająć miejsca. Może tutaj - wskazał na krzesła w pierwszym rzędzie.

Jenny usiadła i pociągnęła zdezorientowanego Chrisa, który ciągle jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia wywołanego pojawieniem się Bena. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła, jak Ben zakłada na nos okulary w rogowej oprawce i uważnie przegląda dostarczony mu, zapewne przez policję, raport. Udzielił się jej nastrój powagi. Onieśmielona, bała się otworzyć usta. Jednocześnie w jej głowie kłębiły się wątpliwości, w nieskończoność zadawała sobie pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Jak mógł tak ją oszukać? Dlaczego nie powiedział, kim naprawdę jest, dlaczego chciał, by myślała o nim... Po raz pierwszy spojrzała na syna. Też był wstrząśnięty, widziała to po jego twarzy. Ben stał się jego idolem. Czy po czymś takim zechce spojrzeć mu w oczy?

- Mam przed sobą raport policji - odezwał się Ben. – Na jego podstawie stwierdzam, że do rozpatrzenia są dwie odrębne sprawy. - Zdjął okulary i sprecyzował: - Po pierwsze, kradzież samochodu.

Poczuła, że przyszła kolej na nią.

- To mój samochód - powiedziała - Oświadczam, że nie wnoszę oskarżenia.

- Przyjmuje. Proszę zanotować. - Skinął głową i nie patrząc na Jenny, zwrócił się do Chrisa. - Sprawa druga. Prowadzenie samochodu przez osobę nie posiadającą prawa jazdy, co stanowi zagrożenie bezpieczeństwa publicznego. Młody człowieku, mogłeś równie dobrze potrącić kogoś albo uderzyć w inny samochód. A oprócz tego, jest jeszcze problem zadośćuczynienia panu Hopworthowi za jego całkowicie rozbity stragan.

Jenny z ukosa zerknęła na chłopca. Dolna warga lekko mu drżała.

- Pokryję koszty naprawy - zadeklarowała pośpiesznie. Sędzia popatrzył na nią surowo.

- To nie pani jest sprawcą, pani Carver. Poza tym rozmawiam teraz z Chrisem. Zagryzła usta, zamilkła.

- Reasumując, wykroczenie jest na tyle poważne, że podlega ocenie sądu - ciągnął Ben - Nawet jeśli właściciel pojazdu nie wnosi oskarżenia, a ja sam dzisiaj zapewniłem pana Hopwortha, że jego szkody zostaną pokryte. Ale to jeszcze nie wyczerpuje istoty sprawy.

Jenny już otworzyła usta, ale sędzia posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Nie odezwała się.

- Chodzi o ustalenie powodów, które popchnęły cię do takiego czynu - Ben zwrócił się do Chrisa. - I to właśnie wydaje mi się najważniejsze. - Przez chwilę milczał. - Dlaczego to zrobiłeś?

Chris wzruszył ramionami, zaczął coś mówić. Ben powstrzymał go, podnosząc rękę.

- Poczekaj, nie szukaj wymówek. To nie ja potrzebuję wyjaśnień, ale ty sam musisz uświadomić sobie powody swojego zachowania. - Pochylił się do przodu, złożył ręce. - Posłuchaj mnie, Chris. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za to, co robimy. Nie zawsze odpowiada nam to, co nas otacza, czy ludzie, z którymi mamy do czynienia. Ale nie mamy na to wpływu i, choćbyśmy nawet bardzo chcieli, nie możemy zmienić tej sytuacji. Możemy zmienić tylko siebie, nikogo więcej. I tak już jest, niezależnie od tego czy w

Bostonie, czy tutaj. Jesteś w stanie to pojąć?

Chris lekko skinął głową.

- Tak, proszę pana - wyszeptał.

- Kiedy pojawia się przed nami jakiś prawdziwy problem, nie ma innego wyjścia, jak stanąć z nim twarzą w twarz - spokojnie ciągnął Ben. - Chciałbym, żebyś spróbował to zrobić. Poświęć na to trochę czasu i zastanów się nad tym. Zadaj sobie pytanie, czy stawiasz czoło problemom, czy może przed nimi uciekasz? - Zamilkł na chwilę. - W gruncie rzeczy w ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się właśnie do tego. Możesz rozmawiać z wieloma ludźmi, ale decydującą rolę zawsze odegra twoje podejście. - Popatrzył na chłopca poważnie, bez surowości.

Jenny wstrzymała oddech. Miał rację, miał świętą rację. Jak mogła dopuścić, by jej kontakt z synem tak się rozluźnił?

- Czy już możemy odejść, panie sędzio? - zapytała ledwie słyszalnym głosem, unosząc się z miejsca.

Znów przybrał surowy wyraz twarzy.

- Pani Carver, zostało naruszone prawo. Proszę usiąść. Jenny opadła na krzesło.

- Ale on ma dopiero...

- Zdaję sobie sprawę, że Chris ma dopiero dwanaście lat. Ale to nie zwalnia go od zadośćuczynienia za wyrządzone szkody. Chris, proszę wstać.

Chłopiec podniósł się z miejsca. Jenny zdawało się, że czuje, jak drży jego drobne ciało. Serce się jej ścisnęło.

- Po pierwsze, zobowiązuję cię do napisania listu do pana Hopwortha, przeprasającego za zniszczenie jego straganu. Urzędniczka sądowa poda ci jego adres. Czy mnie zrozumiałeś?

- Tak, proszę pana - wyszeptał.

- Następnie nakazuję ci odbudować ten stragan.

- Przecież już powiedziałam, że za wszystko zapłacę - z desperacją zawołała Jenny - Sama tego dopilnuję, proszę tylko podać mi adres miejscowego stolarza

- zapewniła, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie na to środki.

Zmroził ją spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

- Mam wrażenie, że nie rozumiała pani sentencji wyroku, pani Carver. To Chris ma odbudować stragan.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Stojący obok Chris odezwał się drżącym głosem:

- Ale ja nie wiem, jak.

- W takim razie chyba musisz się tego nauczyć - spokojnie stwierdził Ben, patrząc prosto na chłopca.

Ogarnęła ją rozpacz. Podniosła się resztką sił. Nie pamiętała, jak znaleźli się na zewnątrz. Nim wyszli, odprowadzająca ich do drzwi Adele szepnęła, że samochód Jenny jest w warsztacie w pobliżu i nadaje się do jazdy.

- I nie martw się już więcej - pocieszyła ją. - Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Skinęła tylko głową i przetykając łzy, podziękowała za pomoc. Przepęłniała ją bezsilna złość. Ścisnęła syna za rękę i nie oglądając się za siebie, pociągnęła go do wyjścia. No i co ma teraz zrobić? Jak Chris ma sobie poradzić z czymś, co w oczywisty sposób przekracza jego możliwości? Dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy, żeby przyjechać tu na wakacje? Po co jej to było? Jak mogła myśleć, że ten wyjazd coś zmieni, że pomoże jej odnaleźć kontakt z synem? Złość na Chrisa potęgowało jeszcze poczucie poniesionej porażki.

Jednym uchem słuchała pana Bulmera, właściciela warsztatu.

- Może pani jechać bez obawy - mówił powoli. - Koła napompowane, wszystko działa. Ale warto wyklepać wgniecenia, nim zaczną się korozja.

Ucięła rozmowę, prosząc o rachunek. Szybko wypisała czek i poprosiła o przesłanie kosztorysu. Całą drogę jechali w milczeniu. Zatrzymali się przed domem. Dopiero teraz zmusiła się do mówienia.



- Chris, nie mam pojęcia, jak z tego wybrniemy. Mam tylko nadzieję, że następnym razem dobrze się zastanowisz, nim coś takiego zrobisz. Weź pod uwagę, że może ci się nie udać tak łatwo wypłatać - dodała, zaciskając usta. Nic nie odpowiedział. Wysiadł z samochodu i ruszył ścieżką prowadzącą na pomost. Otwierając drzwi domu, widziała jego sylwetkę rysującą się na tle wody. Stał wyprostowany, z opuszczonymi rękami i wzrokiem wbitym w jezioro. Ile już razy łudziła się, że wszystko się jakoś ułoży, że są na dobrej drodze? Czy kiedykolwiek się tego doczeka?

Lunch minął w milczeniu. Chris zjadł kanapkę, wypił mleko i zamknął się u siebie. Jenny nie podnosiła się od stołu. Siedziała zrezygnowana, z głową ukrytą w dłoniach.

Całe popołudnie poświęciła na generalne porządki. Gdy starannie wyczyszczona kuchnia zaśniła nie widzianym od lat blaskiem, zabrała się za lodówkę. Potem na kolanach szorowała zniszczone linoleum. Pracowała bez chwili wytchnienia, z dziką furią, w każdy ruch gąbki wkładając zawziętą złość.

Kiedy wreszcie wszystko błyszczało i lśniło, poszła do łazienki wziąć długą kąpiel. Była wykończona, nie miała siły ruszyć ręką. Nie spiesząc się, umyła włosy i wysuszyła je, ubrała się w czyste dżinsy i sportową, zieloną bluzę.

Weszła do wysprzątanej kuchni, popatrzyła przez okno na prześwietlone zachodzącym słońcem sosny. Wzięła głęboki oddech, ale wcale nie poczuła się lepiej. Była coraz bardziej rozdrażniona.

Napędce przyrządziła coś do jedzenia i zawołała Chrisa. Wyłonił się od siebie, dziwnie czymś zaprzątnięty, jakby nieobecny. Znów żadne z nich się nie odzywało. Po jedzeniu Chris pozbierał i umył talerze. Ten gest zaskoczył ją, złagodził nieco jej napięcie.

- Wychodzę na chwilę - oznajmiła nieoczekiwanie. - Niedługo wrócę.

- Dobrze. Ja i tak jestem zajęty. Popatrzyła na niego.

- Mogę cię tu spokojnie zostawić?

- Tak, mam. Nie musisz się niczego obawiać.

- W takim razie idę. Niedługo będę z powrotem. Cienie wczesnego wieczoru kładły się na drogę, kiedy szła między drzewami. Ciepły blask zachodzącego słońca różowił niebo, łagodnie przeświecał przez zielone gałęzie. Ciche dźwięki muzyki niosły się w powietrzu, przybierały na sile, im była bliżej domu Bena. Mozart, przebiegło jej przez myśl. Przystanęła na chwilę, jakby rozważając coś w duchu. Naraz zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i zastukała.

Otworzył jej, trzymając w ręku książkę, w okularach na nosie. Opalonym palcem założył sobie miejsce, w którym przerwał czytanie. Był w tej samej koszuli co rano, zdjął tylko krawat.

- Witaj, Jenny - powiedział spokojnie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam, sędzio Sullivan - powiedziała chłodno. - Wydaje mi się, że dziś rano w sądzie nie wszystko zostało wyjaśnione do końca.

- Wejdz, proszę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do środka. Przyciszył muzykę, odłożył książkę i okulary na stolik przed fotelem i podszedł do kominka. Pochylił się i podpalił ułożony stos drzewa. Zamigotały płomyki ognia. Ben wyprostował się, stanął przy kominku, opierając się o niego łokciem.

- No dobrze - powiedział - Strzelaj. Jenny nabrała powietrza.

- Wiem, że Chris bardzo źle postąpił. Do tej pory jestem na niego wściekła. Ale dlaczego oszukałeś mnie, nas, w ten sposób? Udawałeś, że jesteś tylko złotą rączką - wykrzyknęła, patrząc prosto w jego ciemnoniebieskie oczy, w których odbijały się migoczące w kominku ogniki. Ciepły blask ognia rozjaśniał jego twarz.

- Poczekaj, zaraz. Co chcesz przez to powiedzieć? „Tylko złotą rączką” -

powtórzył jej słowa. - Czy to coś złego? Taki człowiek bardzo wiele potrafi.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - powiedziała.

- A poza tym, czy to ci sprawia jakąś różnicę?

- Czuję się oszukana.

- Czy to znaczy, że gdybyś wiedziała, iż jestem sędzią, to odnosiłabyś się do

mnie inaczej?

- Chciałam powiedzieć tylko to, co powiedziałam. Oszukałeś mnie. Postąpiłeś nieuczciwie.

Przez chwilę rozważał coś w duchu.

- Prawo stanowi tylko pewną część mojego życia - powiedział. - Owszem, zajmuję się nim, ale to nie jest wszystko. Gdyby wczoraj Chris nie uciekł, zabierając twój samochód, mogłabyś wrócić do Bostonu, nic o tym nie wiedząc. A ja nadal byłbym dokładnie tym, kim jestem. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Poza tym nie oszukałem cię tak bardzo. Obiecałem Jackowi Prestonowi, że przygotuję do sezonu domy, które miał pod swoją pieczę. W tych stronach pomagamy sobie w potrzebie.

Jenny przemierzyła pokój. Czowała na sobie wzrok Bena.

- A twoje dzisiejsze wystąpienie w sądzie? Zrobiłeś to dla nas, tak? Przecież mówiłeś, że masz teraz wakacje.

Lekko pokręcił głową.

- To prawda, że dzisiaj nie było w sądzie żadnych innych spraw. W lipcu zazwyczaj mamy przerwę, robimy wyjątek tylko w nagłych wypadkach, jeśli któryś z letników zacznie zbyt hałasować w sobotni wieczór czy coś takiego.

- Wiem, że Chris sam sobie na to zasłużył, ale czy naprawdę musiałeś posuwać się aż tak daleko?

- Wydawało mi się to zupełnie oczywiste - w zdumieniu uniósł brwi.

- Tak, dla kogoś, kto nie wie... - urwała.

- Nie wie o czym - zmarszczył czoło.

- Że to ma też pewien związek ze mną - wybuchnęła. - To z powodu Philipa.

Chcesz się na mnie odegrać, bo myślałeś sobie, że ja... że ty i ja...

Oderwał wzrok od ognia, popatrzył na nią takim spojrzeniem, że aż zadrżała.

- Tak o mnie myślisz - zapytał z powstrzymywanym wzburzeniem - Uważasz, że zrobiłbym coś takiego? Że posłużyłbym się dzieckiem dla własnych,

osobistych powodów?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Atmosfera gęstniała z każdą minutą. Naraz Jenny uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko, powiedziała za dużo.

- Nie - wyznała. - Wcale tak nie uważam. Nie powinnam była tego powiedzieć. To dlatego, iż tak bardzo wierzyłam, że kiedy tu przyjedziemy, wszystko się ułoży. A zamiast tego od samego początku jest coraz gorzej.

- Ale chyba nie ze wszystkim - powiedział cicho. Podniosła na niego oczy. Już nie był taki surowy.

- Ale Chris ma dopiero dwanaście lat - westchnęła znużonym głosem. - Stałeś się dla niego wzorem, uwielbia cię. Dlaczego tak ostro się z nim obszedłeś? Choćby nie wiem jak się starał, nie uda mu się spełnić twoich oczekiwań. Zbyt wiele od niego wymagasz. Straci wiarę w siebie! Przecież nie ma pojęcia, jak odbudować ten stragan. Kto go tego nauczy?

- Ja.

- Jest jeszcze coś. Nie jestem pewna, czy można w taki sposób karać nieletnich. Ty... - przerwała nagle. - Co ty powiedziałeś?

- Powiedziałem, że ja. Gdybyś nie wybiegła tak szybko z sądu, wiedziałabyś o tym już rano. Jutro o wpół do ósmej przyjeżdżam po Chrisa, niech się przygotuje. Musimy z samego rana pojechać do składu drzewa.

- Czy to znaczy, że zamierzasz...

- Przecież chyba już to powiedziałem?

Nagle jej gniew opadł, rozwiało się wzburzenie. Ben nie odrywał od niej oczu; wydawało się jej, że w jego spojrzeniu czułość miesza się ze współczuciem i jeszcze czymś... W ciszy, jaka zapadła, powoli zbliżył się do niej, zatrzymał się tuż obok i przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się, z ulgą przywarła do niego, znajdując w nim siłę i oparcie. Niemal bezwiednie przytuliła głowę do jego ramienia. Napięte mięśnie powoli zaczęły się rozluźniać. Zadrżała lekko, przeczuwając budzący się w niej płomień, przemykający po plecach, narastający z każdą sekundą.

- Jenny, Jenny. Zobaczysz, będzie dobrze - powiedział łagodnie Ben. - Nie próbuj tylko wziąć wszystkiego na swoje barki.

Trzymał ją w ramionach. Powoli dotknął ręką jej policzka, odszukał usta.

Poddała się bez oporu, pragnąc go, pragnąc jeszcze więcej. Ben odchylił w tył głowę. Czowała jego dłoń dotykającą jej włosów, ciepło jego oddechu. Zarzuciła mu ręce na szyję i zanurzyła palce w jego włosach. Od tak dawna tego pragnęła! Przywarła do niego ustami, oszołomiona, zatracając się w pocałunku. Ocknęła się niespodziewanie, jakby dobiegł ją jakiś ostrzegawczy szept. Dopiero teraz otrząsnęła się i zdała sobie sprawę z tego, co czyni. Cofnęła się.

- Muszę już iść - wykrztusiła - Zostawiłam Chrisa samego, a już zrobiło się późno - Wyplątała się z jego ramion i ruszyła do wyjścia. - Dziękuję ci za... wyjaśnienia. Powiadomię Chrisa.

Stał i patrzył na nią, lecz z jego twarzy trudno było wyczytać, co czuje. Za jego plecami ogień płonął coraz jaśniejszym blaskiem, migoczące ogniki lizały polana, wirujące snopy iskier wzbijały się w górę i znikwały w ciemnej czeluści komina. Jenny pośpiesznie otworzyła drzwi, zanurzyła się w liliowy zmierzch. Szła drogą przez las. Z daleka, znad wody, dobiegł ją pojedynczy krzyk ptaka. Brzmiał smutno i samotnie. To wołanie nurów zawsze kojarzyło się jej z wakacjami w Maine, miało w sobie szczególny urok. Ale teraz odebrała je inaczej, jak odbicie jej własnych uczuć.

Dlaczego tak żarliwie odpowiedziała na jego pocałunek? Co się z nią dzieje? Jak to jest, że takiego uniesienia nigdy nie przeżyła z Philipem?

Philip uosabia wszystko to, czego pragnie dla siebie od życia. Jest spokojny, solidny, uprzejmy. Ale przy nim nigdy nie doświadczyła tego palącego ognia, jaki rozniecił w niej dzisiaj Ben.

Cenię Philipa, zastanawiała się, przygryzając wargi, jakby chcąc wydobyć z nich smak niedawnego pocałunku. Doceniam jego zalety, ale nigdy mnie nie porwał. Jest w nim coś takiego, nieuchwytnego, ale wyczuwalnego, co każe przypuszczać, że nawet miłość ma swoje dokładnie ustalone miejsce, na równi z

innymi sprawami.

Chociaż, w gruncie rzeczy, co wiedziała na temat Bena? W coraz gęściejszym zmroku potknęła się o kamień. Zatrzymała się na moment, dalej szła ostrożniej. Właściwie wiedziała o nim jedynie to, że lubił las i jezioro, znał miejsca ptasich gniazd, obserwował przychodzącego do wodopoju łosia. I oszukał ją, bez względu na to, jak próbował się wytłumaczyć. Czy jednak to cokolwiek zmienia?

„Czy znając prawdę potraktowałabyś mnie inaczej? -brzmiało jej w uszach jasno postawione pytanie i w głębi duszy dobrze znała odpowiedź. To by nic nie zmieniło. Ale czy choć przez mgnienie mogła pomyśleć o zmianie swojego życiowego planu, którego realizacja wymagała od niej tylu lat poświęceń i ciężkiej pracy? Już tak niewiele jej pozostało. Przed nią perspektywa dobrej pracy i Philip, oznaczający stabilizację i spokojny dom, dla niej i dla Chrisa. No i przecież kochała go. Naprawdę.

Za zakrętem zobaczyła dom i swój zaparkowany na podjeździe samochód.

Wprawdzie poobijany, ale zawsze. W pokoju Chrisa paliło się światło.

Pchnęła kuchenne drzwi i weszła do środka. Zapaliła światło, rozejrzała się za zapałkami. Robiło się coraz chłodniej. Pochyliła się, by rozpalić ogień w kominku, kiedy do salonu wszedł Chris. W rękę trzymał jakiś papier. Popatrzył uważnie, jakby chciał zorientować się w jej nastroju.

- Siedziałem nad tym listem - powiedział nieśmiało.

- Jakim listem?

- Do pana Hopwortha. Ben.. .uhm, sędzia, kazał mi napisać.

- Ach, no tak.

- Chcesz go przeczytać?

- Jeśli sobie życzysz.

Podał jej zapisaną kartkę z licznymi śladami poprawek.

- Potem to jeszcze raz przepiszę. Chciałem ci najpierw pokazać. Zobacz, czy tak będzie dobrze.

Jenny usiadła obok lampy i zaczęła czytać.

*Drogi Panie Hopworth!*

*Pan mnie nie zna, ale to ja wczoraj wieczorem wpadłem samochodem na pana budkę i ją zniszczyłem. Nazywam się Christopher Carver, mam dwanaście lat i mieszkam w Bostonie. Sędzia Sullivan powiedział, że mam do pana napisać i przeprosić. Powiedział też, że za karę muszę odbudować pana budkę. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, ale spróbuję. I bardzo pana przepraszam za to, co zrobiłem.*

*Chris Carver*

Wzruszyła się. Bez słowa podała synowi kartkę i uścisnęła go żarliwie.

Darowała mu błędy ortograficzne.

- Świetnie to napisałeś. - Opanowała wzruszenie i starała się mówić normalnym tonem. - Idź teraz i przepisuj ten list, to wyślemy go z samego rana. A zaraz potem kładź się spać. Ben Sullivan przyjedzie po ciebie o wpół do ósmej.

- Przyjedzie - ożywił się w jednej chwili chłopiec, ale natychmiast spochmurniał. - Po co?

- Chce ci pokazać, jak odbudować tę budkę. Wydaje mi się, że zamierza pracować razem z tobą.

Twarz chłopca stawała się coraz bardziej mroczna. Odwrócił od niej wzrok, bez słowa poszedł do siebie. Mogła sobie tylko wyobrażać dręczące go myśli. Znow wróciło poprzednie napięcie, które w taki cudowny sposób ustąpiło w czasie jej bytności u Bena. Skrzyżowała ramiona, opadła na kanapę i zapatrzyła się w ogień. Daremnie próbowała odgonić kłębiące się myśli. Znow tyle problemów do rozwiązania: Chris, naprawa samochodu, ten rozdzierający jej serce list. „Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, ale spróbuję”. A z drugiej strony wspomnienie tych

ciemnoniebieskich oczu, tuż obok niej, dotyk jego ust, mocny i jednocześnie czuły, kiedy na jedną cudowną chwilę cały świat przestał istnieć...

Ułożyła się na kanapie, oparła wygodniej, nadal zagubiona w swoich myślach, zapatrzona w ogień, z oczami pełnymi łez.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy została sama, pozmywała po śniadaniu i ogarnęła dom. Potem wyszła na dwór i ruszyła drogą, prowadzącą do głównej szosy. Otworzyła stojącą przy skrzyżowaniu skrzynkę pocztową z nazwiskiem ojca. W środku zajaśniała koperta. Poznała charakter pisma. Rozerwała papier.

*Jenny!*

*Mam nadzieję, że jakoś sobie poradziłaś. Niestety, nie udało mi się skontaktować z Jackiem Prestonem. Od zeszłego lata dom stoi pusty, więc z pewnością trzeba było go nieco przygotować. My z Grace planujemy przyjechać na miesiąc, poczynając od pierwszego sierpnia.*

*Ojciec*

List był napisany na firmowym papierze. Ani krzyny zainteresowania, jak się jej tu wiedzie. Tylko suche stwierdzenia. I to niedwuznaczne przypomnienie, że przed pierwszym ona i Chris mają stąd zniknąć. Z westchnieniem wsunęła list do kieszeni dzinsów. Powłokła się do domu.

Może powinna włożyć więcej starań w ponowne nawiązanie kontaktów z ojcem. Ale zrobienie pierwszego kroku było takie trudne. Po narodzinach Chrisa czuła



się odrzucona przez ojca. Od tego czasu schodziła mu z drogi, aż przyzwyczała się do tego i już nie potrafiła postępować inaczej. Zresztą dlaczego to ona miałaby ustąpić? Buntowała się na samą myśl o takim rozwiązaniu. Przecież on też miał telefon w zasięgu ręki. Interesowała się prowadzonymi przez niego sprawami, śledziła jego przemówienia, ale kiedy przypadkowo spotykała go w sądzie, otoczonego wianuszkami towarzyszących mu osób, natychmiast się odwracała i wycofywała.

Reszta dnia upłynęła jej na czytaniu, nadrabianiu zaległej korespondencji, zdecydowała się nawet na kąpiel w chłodnym jeziorze. Potem zajęła się domkiem gościnnym, wysprzątała go i zmieniła pościel. W zamyśleniu pochyliła się nad albumem ze zdjęciami. Komu przyszło na myśl, by go sporządzić?

I dlaczego? W zadumie przeglądała zdjęcia.

Zaczęła się już niepokoić o syna, kiedy przed domem rozległ się warkot nadjeżdżającego pojazdu. Chris wyskoczył z samochodu. Wstrzymała dech, łudząc się, że może Ben też wysiadzie, ale zawrócił i od razu odjechał.

Podczas kolacji Chris zdawał się nie zauważać, co je, chociaż zawsze przepadał za pieczonym kurczakiem. Skóra zaróżowiła mu się od słońca, na rękach miał pęcherze.

- No i jak poszło - zapytała z udaną powagą.

- Dobrze.

- Jutro o tej samej porze?

- Uhm.

- Może opatrzę ci ręce, chyba je trochę nadwerżyłeś.

- Nie, nic mi nie jest - uciał, a ona umilkła. Nazajutrz wszystko odbyło się tak samo. Znów pod koniec dnia przelotnie mignęła jej twarz Bena. Za to chłopiec był bardziej rozmowny i miał lepszy humor.

- Dzisiaj wyleliśmy fundament. Robi się wykop, potem tam daje się cement, i dopiero do niego mocuje się resztę. Od tego zaczyna się każdą budowę. Wczoraj

rozebraliśmy resztki starego straganu i wywieźliśmy na śmietnik.

- Poznałeś pana Hopwortha?

- Uhm. To taki starszy pan. Ma ogród warzywny za swoim domem. Sprzedaje to, co mu tam wyrośnie.— Urwał na chwilę. - Dostał mój list i przyszedł się ze mną przywitać. Nie jest taki zły.

- No, to był całkiem dobry list. Cieszę się, że wszystko się jakoś układa.

Chłopiec milczał chwilę i nagle wypalił:

- Przepraszam, że zabrałem wtedy samochód! Naprawdę mi przykro.

Zaskoczył ją.

- Wiem - powiedziała tylko.

Następnego dnia wzięła się za porządkowanie rzeczy w szafkach. Układała starannie puszki, sortując je według zawartości, kiedy nagle rozległ się niepokojący dźwięk i po chwili nadmiernie obciążona półka zwała się na podłogę. Spadająca puszka uderzyła ją w palec stopy. Jęknęła z bólu. Klnąc pod nosem, pochyliła się, by pozbierać porozrzucone rzeczy. Co jej macocha powie na tę popsutą półkę? Musi ją jakoś naprawić.

W tym momencie do domu wszedł Chris.

- Co tu się dzieje? - zapytał zdumiony.

Z trudem hamując łzy i masując obolały palec, wyjaśniła mu, co się stało.

Chłopiec uważnie obejrzał półkę.

- Nic dziwnego, że się urwała. Za słabo była przymocowana na takie obciążenie.

Ben mówi, że w stolarce to jedna z podstawowych zasad. Poszukam w szopie odpowiedniej deski. To się da naprawić.

- Naprawisz ją? - Wlepiała w niego zdumione spojrzenie, zapominając o bolącej nodze.

- Jasne - potwierdził niedbałym tonem. Po minucie już był z powrotem.

- Nie jestem pewien, czy te gwoździe wystarczą, ale innych nie znalazłem.

Trzymał w ręce sporą deseczkę. - Powinna być w sam raz.

- Skąd masz ten młotek? - zdziwiła się.

- Ben mi go dał. Powiedział, że stolarz powinien mieć własne narzędzia, żeby je naprawę poczuć.

Jenny ustawiła puszki na naprawionej półce. Nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Nawet kiedy zasiedli do jedzenia, patrzyła na chłopca innymi oczami. Jeszcze raz pochwaliła jego nowe umiejętności, ale widziała, że jej słowa docierają do niego coraz słabiej. Poprzednie ożywienie zniknęło, doszło do głosu zmęczenie. Nie dotrwał nawet do czekoladowego budynku, jaki przyrządziła na deser. Oczy mu się zamykały.

Następnego ranka oboje zaspali. Obudził ich dopiero klakson samochodu. Chris wyskoczył z łóżka, w biegu naciągnął dzinsy i podkoszulek. W jedną rękę złapał buty, w drugą młotek.

- Chris, przecież nic nie jadłeś! I jeszcze nie zdążyłam zapakować kanapek! - wykrzyknęła za nim.

- To nic, mamó! Muszę lecieć - odkrzyknął.

- Przywiozę ci coś do jedzenia - zawołała za odjeżdżającym samochodem.

Znów mignęła jej twarz Bena, opalone ramię w otwartym oknie.

Dlaczego przez te trzy ostatnie dni tak jej unika? Wróciła do domu i zaczęła się ubierać, zaprzątnięta myślami o Benie. Wyraźnie starał się rozbudzić zainteresowanie chłopca i zachęcić go do pracy. Ale nie miała złudzeń. Robił to nie dla niej, tylko dla niego. Ona przestała go interesować. Czy mogła mieć do niego pretensje po tym, co od niej usłyszał? Przecież zarzuciła mu, że... Oblała się rumieńcem na samo wspomnienie tamtej rozmowy. Mimo to jednak ją pocałował, Zarumieniła się jeszcze mocniej, przypominając sobie ten pocałunek. Uświadomiła sobie, że czyni to nie po raz pierwszy. Pamięć o nim nie dawała jej spokoju. Wracła do niego myślą i w dzień, i przed zaśnięciem. Ciągle zdawało się jej, że na nowo czuje dotyk jego gorących ust; mimowolnie puszczała wodze wyobraźni, snując rozkosznie słodkie marzenia o tym, co mogłoby wydarzyć się dalej. Czy dla niego była to rzecz zupełnie zwyczajna, coś całkiem bez

znaczenia?

Zamierzam wyjść za Philipa, przebiegło jej przez myśl, po chwili powtórzyła to na głos. Musi o tym pamiętać, dla własnego dobra. Myślenie o czymś innym jest bez sensu, po prostu śmieszne. Poszła do kuchni, zaparzyła sobie kawę. Z niepokojem pomyślała o drobnym Chrisie, na głodniaka zabierającym się do ciężkiej pracy. Ale przecież jest z Benem, uspokoiła się zaraz. Ben pomyśli o chłopcu.

Zaczęła pakować kanapki. Powoli odwaga zaczęła ją opuszczać. Jej myśli szybowały w stronę nieuchronnego spotkania z Benem. Otworzyła lodówkę, zapatrzyła się w nią, nie wiedząc, czego właściwie potrzebuje. Nerwowo popatrzyła na kuchenny zegar.

Jak ma się do niego zwrócić? Czy znów potraktuje ją z obojętnym dystansem? Pewnie tak. I jak powinna na to zareagować?

Denerwowała się zupełnie niepotrzebnie. Zrozumiała to od razu, gdy tylko zatrzymała samochód przed wyrastającą z ziemi drewnianą konstrukcją. Obaj, Ben i Chris, z zapalem pomachali jej na powitanie. Ben podszedł do niej, uśmiechając się szeroko. Ogarnęło ją uczucie ulgi, ale jednocześnie poczuła rozczarowanie. Z podobną uprzejmością i bezpośredniością traktował każdą inną osobę.

- A więc przyjechałaś obejrzeć naszą pracę.

Był w spranych dzinsach, bez koszuli. Ciemne włosy, układające się w kształt litery V, schodziły aż do linii talii. Stała tak blisko, że widziała drobne kropelki potu na jego skórze. Pewnie są słone, nieoczekiwanie przebiegło jej przez myśl. Wyglądają jak meszek na kiści winogron. Otrząsnęła się z tych skojarzeń.

- Dużo o tym słyszałam - powiedziała z ożywieniem.

- Przywiozłam coś do jedzenia. Nie wiem, dlaczego zaspaliśmy. Powinnam nastawić budzik, ale nie przypuszczałam, że...

Przestań już tak szczebiotać, upomniała się w duchu. Ben odwrócił się w stronę

chłopca.

- Chris, a może pokażesz mamie, co zrobiliśmy?

- Jasne!

Zeskoczył na dół, podszedł do niej. Oba psy deptały mu po piętach. Też był bez koszuli.

- Pewnie umierałeś już z głodu? - zapytała Jenny.

- Coś ty! Pojechaliśmy do MacDonalda. Ben powiedział, że nie można pracować, jak się ma pusty żołądek.

- Och, w takim razie przepraszam.

- Nie ma sprawy - Ben z uśmiechem zbył jej skrupuły.

- No, to teraz chodźmy, pokażemy ci, co tu zwojowaliśmy.

Chris promieniał entuzjazmem.

- Teraz, jak już mamy wszystko przygotowane, możemy zacząć kłaść dach - tłumaczył z zapalem. - Zobacz, już są trzy ściany. Przód będzie inny: otwierany i z szeroką ladą. Tutaj zrobimy drzwiczki, żeby można było zamykać go na noc. W ciągu dnia będzie się je podnosić i przyczepiać na haczyk do sufitu.

- Wygląda na fachową robotę - pochwaliła Jenny.

- Ben sam dobudował pokój do swojego domu - pospieszył z wyjaśnieniem Chris. - On się na wszystkim zna.

- No, może nie na wszystkim - łagodnie zaprotestował Ben. - Ale metodą prób i błędów można się wiele nauczyć.

- Jak już skończymy, może pod koniec tygodnia, to jeszcze pomalujemy całą budkę - dodał chłopiec.

- Pan Hopworth ma kupić farbę - powiedział Ben. - Powiedział, że już wcześniej zaplanował to malowanie, więc przynajmniej zapłaci za farbę. To ładnie z jego strony.

- O, zobaczcie, właśnie tu jedzie - zawołał Chris.

Zdezelowany truck zatrzymał się na pochyłej drodze, wiodącej w stronę skromnego domku. Starszy, szczupły pan wysiadł z auta i ruszył ku nim.

- Jak się macie? - wyciągnął rękę na powitanie. Był w białej, zapiętej pod szyją koszuli i spodniach do konnej jazdy. - Pani jest pewnie mamą Chrisa. Miło mi panią poznać.

- To pan Hopworth - przedstawił go Ben.

Jenny podała mu rękę, zapytała o opinię o nowej budce.

- Jestem zachwycony! Nareszcie pozbyłem się tamtej starej - roześmiał się jowialnie.

- Co z farbą - zapytał Ben. - Jaką pan wybrał?

- Piasek pustyni - poważnie oświadczył pan Hopworth. - Ma w sobie odrobinę różu, niewiele. Podoba mi się. Chris, może byś poszedł i przyniósł ją tu z samochodu?

Chris pobiegł w górę drogi, otworzył tylne drzwi i wyjął dwa wiaderka farby. Zatrzasnął drzwiczki i ruszył w dół.

Jenny patrzyła na niego z niedowierzaniem. Przez te trzy dni, jakby wyrósł, nabrał siły i pewności siebie. Wzdrygnęła się, słysząc jakiś nowy dźwięk.

Przesunęła wzrok i zamarła. Auto zaczynało toczyć się w dół. W tej samej sekundzie Blaze poderwał się z miejsca, skoczył na chłopca i przewrócił go na bok. Jenny krzyknęła rozpaczliwie. Pies stanął nad leżącym na trawie Chrisem. Ben rzucił się naprzód, zręcznie otworzył drzwi, wskoczył do samochodu i zaciągnął ręczny hamulec. Szybko podszedł do klęczącej przy chłopcu Jenny.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Chris usiadł, jeszcze nieco oszołomiony. Pan Hopworth pośpiesznie zbliżył się do nich.

- O Boże, Ben, co ja najlepszego zrobiłem - powiedział z rozpaczą. - Chyba zapomniałem wrzucić bieg.

- Chyba tak, panie Hopworth.

- Nic ci się nie stało, chłopcze - denerwował się.

- Nie, nic - odrzekł Chris, rozglądając się.

Blaze, który siedział kilka metrów dalej, podbiegł do niego. Chłopiec objął go za

szyję, a Jenny, drżąc jeszcze, zmusiła się do uśmiechu. Nie mogła dojść do siebie. Od pierwszej chwili bałam się tego psa, tłukło się jej po głowie. Tyle są warte moje sądy.

Pan Hopworth wciąż był roztrzęsiony.

- Powinno się mnie za to rozstrzelać - wykrztusił, patrząc na podnoszącego się z ziemi Chrisa.

- Nic się nie stało - uspokoił go chłopiec. - Po prostu wypadek. - Uśmiechnął się do starszego pana - Teraz jesteśmy kwita.

Ben lekko objął ją ramieniem.

- Co z tym lunchem? Chrisowi należy się chwila przerwy.

Razem z nią podszedł do jej samochodu.

- Przepraszam, że tak krzyczałam - wyszeptała. Przez cienką tkaninę czuła na ramieniu ciepły dotyk jego ręki. - Nie wiedziałam, co się dzieje. Ten pies mnie przestraszył.

- Mnie też to zaskoczyło - powiedział Ben - Oni naprawdę się zaprzyjaźnili.

Jenny skinęła głową, sięgnęła do samochodu po kanapki. Uprzejmie zatroskany i przejęty, ale to wszystko, myślała w duchu o Benie, Taki byłby w stosunku do każdego. Ale czego właściwie się spodziewała? Głębokich westchnień i przeciągłych, znaczących spojrzeń? Szeptów i miłosnych zapewnień? W jakim świecie żyje? Pora się opamiętać. Po południu Ben odwiózł chłopca i znów od razu odjechał.

Dochodziła dziewiąta, kiedy ktoś zapukał do kuchennych drzwi. Słońce już dawno zaszło i w zapadającym zmroku dostrzegła tylko niewyraźny zarys postaci.

- Cześć! - rozległ się znajomy głos. - Czy nie przyszedłem za późno? Mam coś dla Chrisa.

Serce zatrzepotało jej w piersi, krew szybciej popłynęła w żyłach. Opanowała się resztką sił i podeszła do drzwi.

- Nie jest za późno, ale Chris pół godziny temu poszedł do łóżka i jestem pewna,

że natychmiast zasnął. - Pchnęła drzwi. - Wejdź, proszę. Może ja mu to przekażę?

- Oczywiście. To książka. - Wszedł do środka. - Mówiłem mu o niej. Wydaje mi się, że chętnie ją sobie przeczyta.

- Siedziałam na ganku - powiedziała Jenny. - To pierwszy ciepły wieczór.

- Trzeba z nich korzystać, bo nie trwają długo - odrzekł Ben.

Mrok panujący w kuchni rozjaśniał tylko słaby poblask dochodzący z salonu. W jego świetle widziała twarz Bena, ale jego oczy pozostawały w cieniu. Czuła się dziwnie spięta.

- Może usiądziesz? - zaproponowała i przez salon wyszła na ganek. Tu też było ciemno, choć słabe światło przebijało z salonu, a nad jeziorem jaśniała srebrna poświata.

- Dzisiaj będzie pełnia - powiedział Ben i uśmiechnął się. - To dlatego nie mogłem usiedzieć w domu.

Ćmy przecinały ciemność, znad wody niósł się daleki krzyk nura. Jenny usiadła na schodku, Ben przysiadł obok niej. Tuż przed nimi rozciągała się leżąca w dole srebrna tafla jeziora.

- Co to za książka? - zainteresowała się Jenny, mając nadzieję, że Ben nie słyszy łomotania jej serca.

- Napisał ją mój dziadek - podał jej książkę. - W tych stronach był powszechnie znaną osobą. Mówi o łowieniu ryb, obróbce drzewa, przyrodzie.

- Chris już sporo się nauczył. - Opowiedziała mu o naprawie półki.

Dostrzegła jego uśmiech i dodała z wahaniem:

- Miałeś rację, mówiąc o Chrisie i o tym, czego mu trzeba. Jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy jak teraz. Zawsze tak mi go szkoda, bo wiem, ile rzeczy go ominęło.

- Nie widuje się z ojcem?

- Nie, nigdy. Nie mam nawet pojęcia, co się z nim dzieje. Oczywiście nigdy też nie poznał swojego dziadka.



- Dlaczego oczywiście?

- Bo... właściwie to nie wiem. W dzisiejszych czasach rodziny często tracą ze sobą kontakt.

- Tylko jeśli się do tego dopuści - sprostował łagodnie.

- To nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać. Ani to nie jest niczyja wina. Mój ojciec jest... Trudno się z nim rozmawia. Nawet jeśli chodzi o drobiazgi.

Ben pokiwał głową, ale niczego nie powiedział. Przez chwilę panowała cisza. Szumiały sosny, poruszane lekkim powiewem wiatru.

- Wiesz, kiedy Philip tu był, spał w domku dla gości - ugryzła się w język, ale już było za późno.

Nawet jeśli go zaskoczyła, nie dał tego po sobie poznać. Milczał, dopiero po chwili stwierdził:

- Chyba się tego spodziewałem. Nie od razu, ale kiedy się nad tym zastanowiłem, tak właśnie przypuszczałem. Należysz do takiego rodzaju kobiet.

- Nie wiesz, jaka jestem - szepnęła.

- Oczywiście, że wiem - zaśmiał się cicho. - Jesteś wrażliwa, opiekuńcza. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Wiem, ile znaczy dla ciebie twój syn i że za nic nie zrobisz czegoś, co mogłoby go zranić. Poza tym - w jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia -jesteś córką Buzza Carmichaela, czy ci się to podoba, czy nie.

- A co to ma do rzeczy?

- To oznacza, że jesteś nieco pruderyjna. Wyuczono cię dobrych manier, idąc na lekcje tańca do bostońskiej szkoły Miss McAllister, wkładałaś białe rękawiczki. Chodziłaś tam, prawda? - Znów usłyszała ten leciutko drwiący ton.

- Tak, ale skąd...?

- Mieszkałem w Bostonie i wiem, jak to jest. Poczwała się urażona.

- Doprawdy nie widzę związku... - Urwała i dodała ciszej: - Nie zawsze jestem pruderyjna.

Przez kilka chwil patrzył na nią w milczeniu. Delikatnie musnął jej usta.

- Wiem, że nie jesteś. Ale masz wszystko zaplanowane.

- Czy to coś złego? - Chciała, by jej słowa zabrzmiały przekonująco. - Mam wytyczone cele i dzięki temu wiem, do czego powinnam dążyć. Muszę pamiętać o Chrisie.

- A ty? - zapytał cicho.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła z dziecinnym oburzeniem.

- Myślę, że nie tylko Chrisa powinnaś brać pod uwagę.

- Ponoszę za niego odpowiedzialność.

- I dlatego chcesz wyjść za Philipa? Dla dobra Chrisa?

- Ja... Przecież... To nie jest jedyny powód.

- Och, no tak, zapomniałem. Chodzi o wasze zbieżne kariery. Dwie teczki na stoliku w holu, dwie automatyczne sekretarki, przy śniadaniu ożywione dyskusje o sprawach zawodowych.

Parsknęła ze złością, ale nim zdołała coś powiedzieć, Ben podniósł się.

- Chodź. Pójdziemy stąd.

- Dokąd chcesz iść? - zapytała jeszcze zła.

- Zejdźmy nad wodę. Popłyniemy kajakiem.

- Teraz?

- Jest cudowny księżyc, zbrodnią byłoby zmarnować taki wieczór.

- Ale Chris jest w domu. Nie chcę zostawiać go samego.

- Blaze z nim zostanie.

Jezioro jaśniało w bladej poświacie księżyca, który już zaczął wynurzać się nad wierzchołków wysokich sosen. Jenny ostrożnie ruszyła ścieżką w dół, niepewnie stawiając kroki. Ben uspokajająco ujął ją za ramię. Miała wrażenie, że znalazła się w zupełnie innym świecie. To, co tak dobrze znała w dzień, teraz wydawało się zupełnie inne, tajemnicze. Rozciągająca się przed nimi powierzchnia wody srebrzyła się metalicznym blaskiem, a odbijający się księżyc wyznaczał na niej jasny, migotliwy szlak.

Rocket pobiegł za nimi, ale Blaze nawet nie drgnął. Siedział na progu domu, czujny i spięty. Ben odcumował, usiadł na rufie.

- Będiesz pasażerem, czy może chcesz wiosłować?

- Oczywiście, że będę wiosłować - oświadczyła z urazą.

- No tak, zapomniałem - westchnął Ben. - Nie potrzebujesz niczyjej łaski.

- Czy to coś złego... - zaczęła, ale jej przerwał:

- Daj spokój, nie doszukuj się ukrytych znaczeń.

Zachowuję się bez sensu, pomyślała. Dlaczego nie potrafię się rozluźnić i po prostu być sobą? Czy dlatego, że przy nim staję się kimś innym? Że czasami sama siebie nie poznaję?

Ciągle miała w uszach jego słowa, które wypowiedział na ganku. Nie dawały jej spokoju.

- Tobie łatwo jest robić plany - rzuciła przez ramię, kiedy odepchnął kajak od brzegu i mocnymi ruchami wiosł kierował go na jezioro. - Jesteś tu u siebie, wiesz, czego chcesz. Masz prosty wybór. A nawet, powiedziałabym, w ogóle nie musisz się nad tym zastanawiać.

Nie widziała jego twarzy, więc trudno jej było ocenić, jak przyjął te słowa, ale wydało się jej, że w jego głosie usłyszała lekkie rozbawienie.

- I tutaj się pani myli, pani prokurator. Miałem plany, z których nic nie wyszło, musiałem też podjąć parę trudnych, życiowych decyzji.

- Jakich decyzji? - zapytała podejrzliwie, biorąc wiosła i wiosłując żarliwie.

- Kiedyś ci powiem.

- Nie teraz?

- Nie. O takich rzeczach nie powinno się mówić na wodzie.

- Coś takiego! A kto tak powiedział?

- Ja. To prawo Sullivana. Powinniśmy być cicho, chłonać to, co jest wokół nas i pozwolić nocy, by do nas przemówiła. A my zamieńmy się w słuch.

Zbił ją z tropu. Zamilkła, oparła się wygodniej. Powoli zaczęły do niej docierać

odgłosy nocy. Z tyłu dobiegał ją cichy szmer wiosła Bena; jej wiosło uderzało o wodę. Kiedy je unosiła, księżyc odbijał się w ich błyszczącej powierzchni, a srebrne krople spadały w dół z sennym pluskiem. Gdzieś w pobliżu słyszała znajome nawoływanie nura, zewsząd rozbrzmiewały tysiące ledwie słyszalnych odgłosów nocnego życia. Na tle nieba, wysoko, majaczył zarys gniazda rybołowa. Przed nimi, na środku jeziora, z pluskiem rzuciła się ryba, srebrne krople poruszonej wody zalśniły w ciemności.

W ciszy dopłynęli do plaży, na której kiedyś urządzili sobie piknik. Kiedy to było? Niewiele dalej niż tydzień temu. A wydawało się, że od tamtego dnia minęło tyle czasu. Czy to możliwe, że znała Bena zaledwie tydzień? Chociaż właściwie prawie nic o nim nie wiedziała. Te jego zagadkowe uwagi świadczą, że jeszcze sporo przed nią ukrywa. A mimo to czuła, że kiedy po powrocie do Bostonu Ben zniknie z jej życia, pozostanie po nim pustka.

Odsunęła od siebie te myśli, skupiła się na otaczającej ich rzeczywistości.

Wysłuchiwała się w zgodny rytm przecinających wodę wiosł. Każdy ruch oddalał ją coraz bardziej od Philipa i życia, jakie zostawiła w Bostonie. Znajdowali się w cudownym, obsypanym srebrnym blaskiem księżyca świecie. Ale ten świat rozwieje się już jutro. Marzenia i ulotne fantazje są jedynie piękną ułudą, można cieszyć się nimi, póki trwają.

Ben zawrócił kajak w stronę domu. Chciała poprosić, by tego nie robił, by jeszcze trochę sycić się tym tajemniczym, pełnym cichego piękna światem nocy. Ale zabrakło jej odwagi. Milczała. Ben przestał wiosłować, w ciszy powoli dryfowali w stronę brzegu.

Nagle szepnął:

- Cii... Nie ruszaj się. Popatrz tam, na brzeg. Koło kamienia. Po prawej stronie rośnie wysoka sosna. Widzisz?

Nic nie widziała. Wbiła wzrok w ciemność. Naraz jej uwagę przykuł jakiś ruch. Masywna głowa łosia pochyliła się nad powierzchnią wody. Widziała potężne

rogi. Zwierzę zaczęło pić. Jenny skinęła głową, wstrzymała oddech. W ciszy patrzyli na rysującą się w srebrnym świetle sylwetkę. Znów pochylił się nad wodą. Stał tak długo, wreszcie wyprostował się i oddalił z godnością.

- To ten, o którym mi mówiłeś? - szeptem zapytała Jenny.

- Tak. Czasami przez całe lato nie udaje się go zobaczyć.

- Skąd wiesz, że to ten sam?

- Nie wiem. - Po głosie poznała, że się uśmiechnął. - Ale lubię sobie tak myśleć.

- Zanurzył wiosło i zaczął płynąć do brzegu. - Dzięki temu dzisiejsza noc jest wyjątkowa.

- Ja już wcześniej myślałam sobie, że jest właśnie taka - powiedziała Jenny. - Ale teraz wydaje mi się wręcz czarodziejska.

- Cieszę się, że go zobaczyłaś.

Nie odezwali się więcej. Kiedy dobili do pomostu, Ben pomógł jej wyjść.

Czekała na niego, gdy przycumowywał kajak. Podeszedł do niej i, bez cienia wahania, wziął ją w ramiona. Przyciągnął ją mocno do siebie. Nie były potrzebne żadne słowa. To dalszy ciąg snu, pomyślała, unosząc ku niemu usta. Przywarła do niego, topniejąc w jego uścisku, z żarem oddając pocałunek.

Wokół nich trwała odwieczna symfonia cichych odgłosów nocnego życia, na jej tle ich serca biły zgodnym rytmem.

Ta chwila zaraz uleci, mówiła sobie. Rozwieje się i zniknie, tak jak czar tej cudownej nocy. Wyjdzie za Philipa. W końcu miesiąca wróci do Bostonu. Na wszelki wypadek ojciec jej o tym przypomniał. A kiedy się tam znajdzie, już nigdy więcej nie zobaczy Bena.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez następne kilka dni nie pojechała na budowę. Im mniej będzie widywać Bena, tym lepiej dla niej, przekonywała samą siebie. Możliwe, że i on podzielał tę opinię, bo też nie próbował się z nią zobaczyć. Odbierał rano Chrisa i odwoził

go po południu, ale nawet nie wysiadał z samochodu. Za każdym razem, kiedy wynurzał się zza zakrętu, szarpały ją sprzeczne pragnienia: chciałyby, żeby został na chwilę, a jednocześnie była temu przeciwna. Wyszukiwała sobie różne zajęcia, żeby nie myśleć o nim. Chodziła na długie spacery i pływała w jeziorze, pisała listy i czytała, wypróbowała kilka przywiezionych nowych przepisów, co spotkało się z aprobatą Chrisa.

- Wiesz, twoje pochwały raczej trudno uznać za wiarygodne - śmiała się. - Teraz codziennie wracasz taki głodny, że zjadłbyś konia z kopytami.

- Uhm - przyznawał jej rację.

Przekartkowała kalendarz i ze zdumieniem stwierdziła, że koniec wakacji jest coraz bliższy. W zadumie popatrzyła na datę najbliższej soboty. Jej urodziny. Postanowiła nic o tym nie mówić. Nie miała najmniejszej ochoty na świętowanie.

W sobotni poranek Chris na paluszkach zajrzał do jej sypialni.

- Mamo, nie śpisz? - zapytał szeptem:

Jeszcze nie całkiem rozbudzona, otworzyła jedno oko i popatrzyła na syna.

- Teraz już nie. Co się stało? Nie wiedziałam, że dzisiaj też pracujecie.

- Nie, dzisiaj nie. Budka już jest gotowa. Nie pamiętasz, przecież mówiłem ci wczoraj wieczorem, że już ją pomalowaliśmy?

- Och, no tak. - Ze zdziwieniem spostrzegła, że chłopiec już jest ubrany. -

Wcześniej dzisiaj wstałeś.

- Tak. Ale skoro już nie śpisz, to może przyjdiesz do kuchni?

Popatrzyła na buzię chłopca. Z trudem ukrywał podniecenie.

- Dobrze. Umyję się tylko i coś na siebie włożę.

- Tylko się pośpiesz.

Włożyła dzinsy i bluzę, przecesała włosy i bosą poszła do kuchni. Chris, przestępując z nogi na nogę, stał obok stołu, na którym leżała kwadratowa, zbita z listewek i wypolerowana do połysku, skrzyneczka z kunsztownie połączonymi

bokami.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! - radośnie wykrzyknął. - To ja to zrobiłem.

Jenny okrążyła stół, niepewna, do czego może służyć ten prezent, ale czując, jak ważna jest ta chwila dla chłopca.

- To piękna rzecz! - zachwyciła się.

- Założę się, że nie wiesz, co to jest. Nagle ją oświeciło.

- Ależ oczywiście, że wiem! To pojemnik na roślinę.

- Zgadłaś! Wkładasz do środka doniczkę i już. Uścisnęła go mocno.

- To najpiękniejszy pojemnik, jaki widziałam w życiu! I w dodatku pamiętałeś o moich urodzinach!

- To jeszcze nie wszystko - powiedział, oswobadzając się z jej uścisku. -

Będziemy mieć przyjęcie. No, coś w rodzaju przyjęcia. Jak tylko Ben tu dojedzie.

- Ben... - Poczowała, że oblewa się rumieńcem, a serce zabiło jej jak szalone.

- No tak. To on pomógł mi zrobić prezent. To znaczy, nie robił go sam, ale pokazał, jak się do tego zabrać. Razem zaplanowaliśmy dzisiejszy dzień. To dlatego cię obudziłem, bo mamy zacząć wcześniej.

W tym momencie rozległ się znajomy warkot samochodu. Jenny zastygła w miejscu, niezdolna zrobić kroku. Chris otworzył drzwi. Na progu stanął Ben, niemal niewidoczny zza ogromnej zielonej paproci.

- Najlepsze życzenia urodzinowe! - powiedział, wkładając roślinę do skrzyneczki. Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- Och, gdybym wiedziała, co się święci, to bym nastawiła budzik, żeby się należycie przygotować!

- Wyglądasz wspaniale - miękko zapewnił ją Ben - Wnioskuje, że jesteś gotowa na dalszy ciąg?

- Nic o tym nie wiem - odrzekła, ciągle mając w pamięci ten ostatni ulotny pocałunek.

- To niespodzianka. - Ben i Chris popatrzyli na siebie znacząco.

- No dobrze, ale jak mam się ubrać?

- Tak jak teraz jest dobrze - skwapliwie zapewnił ją chłopiec.

- Z wyjątkiem butów - dodał Ben, patrząc na jej bose stopy.

- Dajcie mi pięć minut - poprosiła błagalnie.

Chris skrzywił się niecierpliwie, ale Ben przystał na jej prośbę.

- Nawet dziesięć, jeśli ci potrzeba. Ja zrobię kawę.

Pędem pobiegła do swojego pokoju. Przepęłniło ją radosne pełne oczekiwania podniecenie, podobne do tego, z jakim! dawno, kiedy jeszcze żyła jej mama, witała święta Bożego Narodzenia. Włożyła skarpetki i sportowe buty, wyszczotkowała włosy i lekko pociągnęła usta szminką. Pośpiesznie wygładziła narzutę na łóżku, pobieżnym spojrzeniem obrzuciła pokój i wybiegła do kuchni. Policzki się jej zaróżowiły, oczy błyszczały. W końcu to moje urodziny! Taki dzień się zdarza tylko raz w roku. Chyba każdy ma prawo to uczcić?

- Jestem gotowa - oznajmiła zdyszany głosem.

Ben wyciągnął ku niej kubek z kawą. Popatrzył na nią uważnie. W uśmiechu lekko zmrużył oczy.

- Na pewno jesteś gotowa na wszystko?

Nie odpowiedziała, tylko powoli skinęła głową. Nie wypowiedziane słowa zawisły w ciszy. Wreszcie Chris się zniecierpliwiał.

- No dobra! To ruszajmy już!

Posuwali się leśną ścieżką, która to oddalała się od jeziora, to znów zbliżała się do jego brzegu. Czasami między drzewami migotała powierzchnia wody. Ben prowadził, za nim szła Jenny, na końcu Chris i psy. Miejscami trudno było przejść. Widocznie już dawno nikt tędy nie przechodził. Ben poruszał się zwinnie, z naturalnym wdziękiem. Napięte mięśnie, wyraźnie zaznaczające się pod dzinsową koszulą, przyciągały jej uwagę.

- Chyba dawno nikt tędy nie chodził - stwierdziła.

- Tak. W dodatku zimowe wiatry zrobiły spore szkody. -Zatrzymał się przed



zwaloną sosną, zagrządzającą drogę. - Będę musiał przyjść tutaj z piłą, ale na razie przejdziemy górą.

Odwrócił się i nim zdążyła zaprotestować, ujął ją w tali i podniósł w górę.

Zaskoczona wstrzymała oddech. Ben uśmiechnął się i postawił ją po drugiej stronie pnia. Ruszył do przodu.

- Gdzie teraz jesteśmy - zapytała. - Czyj to teren?

- Mój - rzucił przez ramię. - Jeszcze trochę i dojdziemy do jeziora.

- To wszystko jest opisane w książce - potwierdził Chris.

- W książce?

Odwróciła się, by spojrzeć na idącego za nią syna. Zdumiała się. Znerwicowany, obgryzający paznokcie Chris, który godzinami jak zahipnotyzowany wpatrywał się w telewizor, nagle przeobraził się w opalonego, mocnego chłopca, poruszającego się ze spokojną pewnością, jakiej nigdy wcześniej w nim nie było.

- No wiesz, w tej od Bena. W książce napisanej przez jego dziadka.

- Aha. O czym tam jest mowa?

- Zobaczysz.

- Te urodziny zapowiadają się coraz bardziej tajemniczo - poskarżyła się, ale cała trójka wiedziała, że to żart.

Od lat nie czuła się taka wolna i szczęśliwa. Cieszyło ją rześkie poranne powietrze, przesycone zapachem sosen. Mogła tak iść na koniec świata, mając przed sobą Bena, zwinnie przemierzającego gąszcz, jego pomocną dłoń, której ciepły dotyk był tak cudownie przejmujący...

Po jakiejś półgodzinie wędrówki dotarli do polany. Słoneczny blask przesączał się przez zielone liście, a tuż przed nimi rozciągało się jezioro, migoczące w porannym świetle. Na środku polany stała chatka z bali.

- To jest to - z przejęciem wykrzyknął Chris i rzucił się do przodu.

- Jesteśmy na miejscu - Ben zatrzymał się, oparł ręce na biodrach i uśmiechnął się do Jenny.

Rozejrzała się wokół i uważnie przyjrzała domkowi.

- Czyja to chatka? - zapytała cicho.

- Mojego dziadka –odrzekł -Wprawdzie teraz należy do mnie, ale zawsze tak o niej myślę. Sam ją zbudował, z pomocą mojego taty i moją.

- Przeczytałem o tym w książce - Chris podbiegł do nich zdyszany - On też nazywał się Ben. Właściwie nie Ben, a Benett. To był jego domek wędkarski. To tutaj napisał swoją książkę. Opisał też, jak zbudować taką chatkę.

A więc naprawdę miał na imię Benett. I kiedy był chłopcem w wieku Chrisa, na tej polanie pomagał swojemu dziadkowi. Wyobraziła go sobie, wykonującego polecenia, skupionego, chłonnącego każde słowo.

- Jest piękny - zachwyciła się, podchodząc do drzwi i ujmując wypolerowane od długiego używania zamknięcie z kawałka gałęzi czy może korzenia.

- Otwórz - powiedział Ben.

Zatrzymała się na progu, czując tuż za plecami jego obecność. Delikatnie położył ręce na jej ramionach. Poczowała radosny dreszcz. Chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej, ale w tym samym momencie rozległ się entuzjastyczny krzyk Chrisa:

- Och! Ale tu jest super! Mamo, zobacz!

- Wejźmy do środka - spokojnie powiedział Ben. Domek składał się z jednego pokoju. Dwa nieduże okna wychodziły na jezioro. Obrzuciła wzrokiem zbudowany z kamieni kominek, wąski tapczan i stół zbity z desek. Wzdłuż ścian biegły półki, całości dopełniał wieszak na ubrania, zrobiony z wyszlifowanej gałęzi.

Jenny przyglądała się wszystkiemu po kolei, a Chris nie posiadał się z zachwyty. Dotykał każdej rzeczy.

- Mamo, popatrz tutaj! O tym też było w książce! A wiesz co? Dom jest zbudowany z drzew, które tutaj rosły i oni sami je wycięli.

- To stąd się wzięła ta polana - potwierdził Ben. - Mamy przed sobą cały dzień - dodał po chwili milczenia.

- Chris, pora wziąć się do roboty. Nie wiadomo, jak ci dzisiaj pójdzie, a jeszcze trochę i zrobimy się głodni. Wędki stoją w kącie. Przynęta jest na półce.

Chłopiec wyszedł na dwór, psy pobiegły za nim.

- Jesteśmy zdani na to, co on złowi - zapytała Jenny.

- Martwisz się? Jeśli będzie mu słabo szło, to dołączę do niego i spróbujemy łowić w innym miejscu. Ale jestem pewien, że da sobie radę. Zresztą, najwyżej będziemy głodni. To najgorsze, co może nas spotkać. Ale na wszelki wypadek zabrałem coś - w oczach zamigotały mu wesołe iskierki. Wyciągnął spod koszuli jakąś paczuszkę. - Bekon - powiedział konspiracyjnym szeptem, kładąc ją na stole.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Oboje wybuchnęli śmiechem. Ben podszedł bliżej, ona też postąpiła krok naprzód. Znow była w jego ramionach. Dręczące ją wątpliwości, pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi, nie dające jej spokoju rozterki - naraz w jednej chwili uleciały, przestały istnieć, a ona płonęła pod dotykiem jego ust, żarliwie oddawała pocałunki. Tak jak tamtej nocy, kiedy wypłynęli na jezioro, zdawało się jej, że nagle znaleźli się w innym świecie, cudownym i nierzeczywistym.

- Wiesz, jeszcze nigdy nie czułam się tak... - z trudem łapiąc oddech, szepnęła Jenny - ... wydaje mi się, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że...

- To jest naprawdę - jego ciepły oddech wicherzył jej włosy. - Ale teraz - z ociąganiem odsunął się nieco - trzeba rozpaścić ogień. - Uśmiechnął się. - Chyba powinienem dodać: inny ogień. - Znow musnął jej usta.

Rozpalili ognisko na polanie.

- Zawsze tutaj mieszkałeś?

Jenny siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Na brzegu Chris znow zarzucał wędkę, psy obserwowały każdy jego ruch.

- Nie, mieszkałem w Auguście, ale spędzałem tu sporą część roku. Mój dziadek miał tu ziemię, rodzice też.

- Co się z nimi dzieje?

- Dziadek zmarł, a rodzice przeszli na emeryturę. Oboje są w dobrej formie.

Nadal mieszkają w Auguście, ale na zimę wyjeżdżają na południe.

- Któryś z nich jest może prawnikiem?

- Obydwoje. - Uśmiechnął się.

- Naprawdę? - nie posiadała się ze zdumienia. Naraz zobaczyła go w zupełnie innym świetle. - Masz rodzeństwo?

- Brata. Jedyne, który wybrał inną drogę. Pracuje w służbie zagranicznej. Teraz przebywa na Bliskim Wschodzie.

Jenny zmarszczyła czoło, przypominając sobie jego niedawne słowa.

- Tamtego wieczoru, kiedy wypłynęliśmy na jezioro, wspomniałeś mimochodem, że mieszkałeś w Bostonie. A potem dodałeś, że musiałeś podjąć kilka trudnych decyzji. Czyżbyś tam pracował?

Ben dołożył parę polan do ognia.

- Tak. Przez jakiś czas. W firmie Gunderson i Lanthrop.

Znała jej renomę. To, co przed chwilą usłyszała, zaskoczyło ją, ale nic nie powiedziała.

- Szło mi nieźle, szybko pięłem się w górę. Miałem zostać wspólnikiem. Ale pewnego dnia uświadomiłem sobie, że ta praca wcale mnie nie satysfakcjonuje.

Tęskniłem za Maine, ludźmi, których tutaj znałem, za takim stylem życia.

Miałem prestiż i pieniądze, ale nie czułem się szczęśliwy. Więc postanowiłem zrezygnować.

Philip nigdy by czegoś takiego nie zrobił, niespodziewanie przemknęło jej przez myśl.

- Ale czy tutaj masz to, co cię interesuje? Czym się teraz zajmujesz?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Pewnie uważasz, że wydawanie wyroków w zwyczajnych sprawach jest okropnie nudne, co?

- No, może tak.

- To tylko czasowa praca. Stary sędzia Hurley zmarł w styczniu i ja przejąłem jego obowiązki. I wcale mnie to nie nudzi. Prawo jest prawem, na każdym poziomie jego stosowania. Zawsze mnie fascynuje. Ale oprócz tego prowadzę prywatną praktykę, i to mnie bardziej pociąga. Kiedy upłynie kadencja w sądzie, znów się na niej skoncentruję.

- Ale nawet mimo to. Chyba rzadko bywają tu ciekawe sprawy.

- Jestem znany nie tylko tutaj - wyjaśnił. - Przychodzą do mnie klienci z wielu stron. Poza tym od czasu do czasu prowadzę wykłady na wydziale prawa uniwersytetu. Z moją dawną firmą mam dobre stosunki, więc co jakiś czas proszą mnie o pomoc. - Uśmiechnął się. - Nie całkiem wyszedłem z obiegu.

Jakoś trudno było jej pogodzić ten jego sprzeczny obraz. Miała przed oczami jego postać, kiedy w samych dżinsach, spocony od wysiłku i słońca, wznosił budkę pana Hopwortha. I naraz okazuje się, że jest wziętym prawnikiem, zapraszany przez uniwersytet, proszonym o konsultacje w skomplikowanych sprawach.

- Zaskoczyłeś mnie - szepnęła. - Nagle widzę cię z zupełnie innej strony.

Obszedł płonące wesoło ognisko, wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wstać.

- Czy to coś zmienia? - popatrzył na nią uważnie.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko muszę się z tym oswoić.

- Może dałoby się to jakoś przyspieszyć.

Pochylił ku niej usta, wsunął palce w jej włosy, przyciągnął ku sobie.

- Hej! Złapałem rybę!

Radosny krzyk Chrisa rozdzielił ich, ale przez dłuższą chwilę oboje nie odrywali od siebie oczu..

- Chodźmy mu pogratulować - powiedział Ben. Zeszli na brzeg, gdzie chłopiec dumnie zademonstrował im sporego okonia.

- Jak myślisz, ile nam jeszcze potrzeba? - zapytał Chris.

- Może jeszcze dwa - zastanowił się Ben.

- Nie ma sprawy - skwitował ze wzruszeniem ramion. Nim znów sięgnął po przynętę, dziwnie popatrzył na Bena i Jenny.

Przygotowane filety z ryby obtoczyli z mące i upiekli na płatkach bekonu.

Wokół roznosił się smakowity zapach. Psy, węsząc w powietrzu, przysiadły nie opodal ogniska.

- Skąd tu się wzięła mąka? - zainteresowała się Jenny, oblizując palce i sięgając po kolejną porcję.

- Byłem tu kilka tygodni temu. Ogarnąłem trochę domek i przyniosłem parę rzeczy. Zawsze się staram, żeby przez całe lato było tu trochę zapasów.

- Nigdy nie jadłam tak pysznej ryby - oświadczyła Jenny - Naprawdę.

- To jemu powinniśmy podziękować - Ben skinął na Chrisa. - Też by potrafił je przyrządzić, ale się zlitowałem.

- Tak, mamgo! - poświadczył chłopiec - Ja też bym umiał. To wszystko jest opisane w książce. Wiem też, jak rozpalić ogień, kiedy jest mokro. Trzeba poszukać suchej trawy pod zwalonymi konarami. Albo można zedrzeć korę z mokrej gałęzi, w środku będzie sucha. Trzeba tylko zawsze mieć ze sobą zapalki w metalowym pudełku czy czymś podobnym. - Mówiąc, rzucał siedzącym po jego obu stronach psom kawałeczki ryby. - Są też różne rzeczy, którymi można się pożywić, jeśli się nie ma ze sobą jedzenia. Na przykład mniszek lekarski. Gałązki brzozowe też nadają się do jedzenia.

- Wierzę ci, ale cieszę się, że nie muszę tego jeść na urodziny - roześmiała się Jenny. - Zostało jeszcze trochę ryby?

Kiedy skończyli, w wodzie z jeziora umyli naczynia i siedząc przy dogasającym ognisku, grzali się w słońcu. Potem spacerowali po lesie, przy akompaniamencie entuzjastycznych okrzyków chłopca, z przejęciem dokonującego kolejnych odkryć. Szli blisko siebie, niewiele mówiąc, kilka razy przypadkowo stykając się rękami. Nad nimi radośnie śpiewały ptaki, słońce przeświecało przez zielone gałęzie.

- Mówiłeś mi o sobie, ale nigdy nic nie wspomniałeś o miłości - zdecydowała

się w końcu zadać to pytanie. - Czy w twoim życiu nigdy nikogo nie było?

Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok.

- Kiedyś ktoś był.

Zamarła.

- To ktoś, kogo znałeś w Bostonie? - Nie mogła się powstrzymać, choć było to zadawanie bólu samej sobie.

- Tak. Była studentką medycyny. Teraz jest lekarzem. Zaproponowano jej bardzo dobrą posadę w szpitalu w Nowym Meksyku. Bardzo jej na tym zależało. Ja, oczywiście, też chciałem, by z niej skorzystała. To stanowisko otwierało przed nią ogromne możliwości. Ale ja wyrosłem tutaj i nie widziałem siebie w innym miejscu. W ten sposób nasze drogi się rozeszły.

- I nic poza tym? Ben zaśmiał się cicho.

- No nie, z pewnością złożyło się na to więcej przyczyn, podałem ci najważniejszy powód. Ale bez względu na to, co zaszło, mam dla niej ogromny szacunek. I bardzo ją cenię.

Skinęła głową. Takie stwierdzenie było właśnie w jego stylu. Zawsze obiektywny i sprawiedliwy.

Kiedy słońce zawisło nad horyzontem, zalali wodą ognisko, jeszcze raz popatrzyli na domek i polanę i ruszyli w drogę powrotną.

- To najlepsze urodziny, jakie miałam w życiu - powiedziała Jenny, przyjmując pomocną dłoń Bena. Przeskoczyła przez zagradzającą drogę gałąź.

- To jeszcze wcale nie koniec - sprostował.

- Jak to? Przecież już nic więcej nie można do tego dodać - szczerze zdumiała się Jenny, z trudem przedzierając się przez zarastającą ścieżkę zarośla. Tuż za sobą słyszała kroki Chrisa. Psy biegły obok niego, myszkując po drodze.

- Wieczorem zapraszam was na kolację.

- Na kolację? Jeszcze jestem najedzona po lunchu!

- Poczekaj, aż dojdziemy do domu. Zostawię wam trochę czasu na odpoczynek.

Zresztą ja i tak muszę odprowadzić psy.

- A gdzie ma być ta kolacja?

- Jest takie miejsce, znane jedynie mieszkańcom. Turysty tam nie uświadczysz. Prowadzi je pani McCracken. Przyjmuje tylko umówionych gości.

- Hmm, wiecie co... - niepewnie zaczął Chris. Zatrzymali się i popatrzyli na zmieszanego chłopca.

- Hmm... chyba powinienem wcześniej wam powiedzieć, że pani Hazelton zaprosiła mnie do siebie, bo wieczorem przyjeżdża jej wnuczek. Powiedziała, że będziemy mogli rozbić namiot i w nim spać. - Stropił się jeszcze mocniej. - Wtedy nie mógłbym iść z wami. Ben spojrzał na Jenny.

- To zależy od twojej mamy.

- W porządku, Chris, możesz jechać.

- Och, dziękuję! Świetnie!

Ruszyli przed siebie. Szalone myśli nie dawały jej spokoju. To będzie prawdziwa randka, uświadomiła sobie. Była podekscytowana jak nastolatka. Tylko oni dwoje.

- Muszę się odpowiednio ubrać - zaniepokoiła się. Ben popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Zapewniam cię, że u pani McCracken to całkiem zbyteczne.

- Ale to są moje urodziny i mam taką ochotę.

- Jak sobie życzysz. Wpadnę po ciebie koło siódmej. Jak na te strony to wystarczająco późna pora.

- Zgoda, o siódmej.

Rozklekotany plymouth podjechał tuż przed szóstą. Razem z Adele przyjechał jasnowłosy chłopiec w wieku Chrisa. Po męsku, z przesadną powagą, podali sobie dłonie. Chłopiec był trochę niższy i nieco pełniejszy niż Chris, ale szeroki, szczerzy uśmiech świadczył o jego pogodnej naturze. Z pewnością przypadną sobie do gustu, pomyślała Jenny, dziękując Adele i machając im, póki samochód nie zniknął jej z oczu. Weszła do domku. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.



Oczy jej błyszczały radosnym oczekiwaniem, migotały w nich bursztynowe iskierki.

Wzięła głęboki oddech, daremnie próbując się uspokoić. Wszystkie mięśnie miała napięte do ostatecznych granic, przepełniał ją przyjemny niepokój i podniecenie. Stała pod strumieniem gorącej wody, namydliła włosy. Mam jeszcze całą godzinę, zdążę się wyszykować, powtarzała sobie w duchu.

Owinęła głowę ręcznikiem, włożyła szlafrok i zaczęła oglądać jedyną sukienkę, jaką ze sobą przywiozła.

Zielona, uszyta z bawełny, nie była wprawdzie strojem wieczorowym, ale w sam raz nadawała się na takie wyjście. Świetnie pasowała do jej karnacji. Przez chwilę stała bez ruchu, przejęta tym, co wkrótce ją czeka. Już nieraz była z nim sam na sam, ale teraz to coś zupełnie innego. Cały wieczór tylko we dwoje.

Mocno zacisnęła powieki, wyobrażając sobie, co się może wydarzyć.

Nagle rozległo się kołatanie do kuchennych drzwi.

Otworzyła oczy. To niemożliwe, żeby już była siódma! Z ręcznikiem na głowie, zupełnie nie przygotowana do wyjścia, mocniej zawiązała szlafrok i wybiegła z łazienki. No trudno, w końcu już nieraz widział ją w nie najlepszej formie, pomyślała filozoficznie.

- Chyba umawialiśmy się o siódmej... - zaczęła i stanęła jak wryta. Osłupiałym wzrokiem popatrzyła na trzy postacie, stojące za ażurowymi drzwiami.

- Philip!

- Niespodzianka - zawołali zgodnym chórem - Jenny, no otwórz wreszcie te drzwi - błagalnie jęknął Philip. - Jesteśmy okropnie obładowani, mamy mnóstwo rzeczy. Pamiętasz Craiga i Tinę, prawda?

Ręce jej drżały, kiedy pośpiesznie otwierała drzwi. Poznała Craiga, kolegę Philipa, też prawnika. A ta Tina, chyba już kiedyś widziała ją na jakimś przyjęciu.

- Cześć, kochanie! - Philip pochylił się i pocałował ją w policzek. - Chyba nie

przypuszczałaś, że zapomnę o twoich urodzinach? Namówiłem ich, żeby ze mną przyjechali, urządzimy ci bal!

Pod pachą dzierżył dwie butelki szampana, wolną ręką trzymał uchwyt sporego kosza. Craig, niższy od Philipa, o nieco przerzedzonych włosach, ścisnął drugi. Jenny skinęła mu głową i uśmiechnęła się z przymusem. Obładowani ruszyli do stołu i zaczęli wyładowywać zapasy. Pośpiesznie chwyciła stojącą na nim paproć i postawiła ją na kuchennej szafce. Miała łzy w oczach.

- Philip, powinienesz mnie uprzedzić - powiedziała.

- Absolutnie nie! - zaprotestował. - To miała być niespodzianka - dodał, obracając ją i obejmując mocno.

- Wszystkiego najlepszego, Jeanie - Tina uścisnęła ją serdecznie. Jenny nie poprawiła jej. - Zobaczysz, co przywieźliśmy. - Zrobiła tajemniczą minę, wskazując na ogromną torbę. - Wszystko z tej nowej restauracji Bellisario. Cudowne miejsce, wszyscy teraz chodzą tylko tam. Mamy rybę marynowaną na ostro z krewetkami i małżami. I tę ich doskonałą cielęcinę...

- *Veal irwoltini* - pomógł jej Craig.

- Przekonasz się, że jest pyszna - zapewnił ją Philip. - Z włoską szynką i specjalnym serem, zapiekana we francuskim cieście. Palce lizać! Ale najpierw trzeba ochłodzić szampana. Od niego zaczniemy.

Mała kuchnia wypełniła się gwarem, ale Jenny siedziała jak odrętwiała.

- Gdybym tylko wiedziała, że przyjeżdżasz - wymamrotała.

Philip uśmiechnął się do niej olśniewająco.

- Kochanie, przestań się przejmować! Jasne, że gdybyś wiedziała, to nie wybiegłabyś do nas jak zmoczony piesek. Ale co z tego? I tak zawsze wyglądasz wspaniale. No, teraz idź, wysusz się, a my przez ten czas wszystko przygotujemy. To twoje urodziny, więc nie damy ci się do niczego dotknąć.

Zabrała paproć i zaniósła do sypialni. Ustawiła ją na komodzie, a sama przysiadła na łóżku. Była zdruzgotana. Ściągnęła z głowy mokry ręcznik, pasma

włosów bezładnie opadły jej na twarz. Musi zadzwonić do Bena. Ale telefon stoi w salonie, więc jak ma mu wytłumaczyć, co się stało? Jednak musi to zrobić. Zresztą gdyby nawet nikt nie był świadkiem tej rozmowy, to co powiedzieć, by zrozumiał... Chociaż nie, zrozumie od razu. Ale co zrobić, żeby wiedział, że ona wcale nie chce...

Ktoś zastukał do drzwi.

- Jenny, kochanie - usłyszała głos Philipa. - Gdzie znajdę półmisek, żeby wyłożyć rybę?

- Na półce, z lewej strony zlewozmywaka - odrzekła z udanym spokojem. - Zaraz przychodzę.

Kiedy odszedł, szybko wysuszyła włosy. Nie patrząc na zieloną sukienkę, włożyła džinsy i bluzę, na nogi mokasyny. Uchyliła drzwi. Dobiegły ją słowa Philipa:

- Oczywiście wiecie, że Buzz Carmichael to chodząca legenda. I czyż ten dom o tym nie świadczy? W Bostonie chodzą słuchy, że tylko wybrańców spotyka zaszczyt, by zostać tu osobiście przez niego zaproszonym. - Popatrzył na wchodzącą Jenny. - O, jesteś. Opowiadałem Craigowi o domu.

- Przepraszam was na chwilę. Muszę zadzwonić.

- Ależ jasne, kochanie. A zaraz potem napijemy się wreszcie szampana.

Jenny nerwowo zerknęła na zegarek. Miała właśnie iść do telefonu, kiedy nagle ktoś zastukał do kuchennych drzwi. Tina, która stała bliżej, otworzyła je, nim Jenny zdołała się ruszyć.

- Witaj, kimkolwiek jesteś- zawołała śpiewnie - Przyjęcie zacznie się lada moment, więc wejdź.

- Przepraszam, nie wiedziałem... - usłyszała głos Bena. Tina już ciągnęła go do środka.

Serce jej zamarło. Przebrał się: miał na sobie spodnie koloru khaki i niebieską koszulę. Na gęstych włosach pozostały ślady wilgoci, pewnie dopiero co wyszedł spod prysznica. Ciemne oczy omiotły zgromadzonych, zatrzymał

wzrok na skamieniałej Jenny.

- Witamy - serdecznie zawołał Philip - Jesteś Ben, prawda? Ben... -

- Sullivan - podpowiedział.

- Tak, oczywiście. Przyłącz się do nas, Ben. Przyjęcie właśnie się zaczyna. Dziś są urodziny Jenny. Pozwól, to jest Craig Downing, a ta ożywiona dama, która ci otworzyła, to Tina Beckwith. Ben opiekuje się letnimi rezydencjami. Jenny mówiła mi, że bardzo jej pomógł z Chrisem - wyjaśnił Craigowi. - A właśnie, gdzie podziewa się Chris?

- Pojechał do kolegi - odezwała się Jenny - Philip, powinnam ci coś powiedzieć.

Ben nie jest tylko... - Urwała bezradnie i błagalnie spojrzała na Bena. - Philip,

Craig i Tina zupełnie mnie zaskoczyli, dosłownie przed chwilą.

- Widzę - odrzekł uprzejmie, ale zacisnął zęby.

Philip niczego nie zauważał. Nic nie mogło go powstrzymać. Wyciągnął z kieszeni kopertę i pomachał nią triumfalnie.

- Oto coś, co powinniśmy uczcić - oznajmił. - Dodatkowo, oczywiście. -

Przyciągnął Jenny do siebie - Po drodze wpadłem do ciebie i zabrałem pocztę.

Przysięgam, że nie otwierałem tego listu nad parą, ale wiem, co jest w środku.

Jadłem lunch z Willym Forresterem, dziekanem prawa - wyjaśnił Benowi, który ze zrozumieniem skinął na to głową.

- Zdradził mi pewną tajemnicę. Nie tylko zdałaś egzamin, ale zdałaś go najlepiej z całej grupy.

Tina jęknęła z zachwytu, razem z Craigiem zaczęli bić brawo.

Spojrzenie Bena przeszło ją do głębi.

- Gratuluję - powiedział cicho.

- To wystarczający powód do radości - ciągnął Philip - ale powiem wam jeszcze coś. Otóż mam nadzieję, że w czasie tego weekendu wreszcie przekonam Jenny, że czas ogłosić nasze zaręczyny - Obejmował ją w talii, nie mogła nawet się ruszyć.

- Craig, otwórzmy szampana i zaczynamy. Zostaniesz z nami, Ben?

Przywieźliśmy z Bostonu mnóstwo pysznych rzeczy. Im więcej osób, tym będzie weselej!

- Jasne, zostań z nami - przyłączyła się Tina, łapiąc go za rękę i zaglądając w oczy. - Mamy wspaniałą potrawę z Bellisario, będzie ci smakować. Specjalnie przyrządzona, zamarynowana ryba, z blanszowanymi krewetkami i małżami, z czerwoną papryką, awokado i różnymi specjałami.

Ben grzecznie wyplątał się z jej uścisku.

- To bardzo miłe z waszej strony - powiedział spokojnie.

- Z pewnością potrawa jest świetna, ale już mam plany na kolację. Jeszcze raz ci gratuluję, Jenny. Wszystkiego. - Szybko wyszedł i zaraz rozległ się odgłos odjeżdżającego auta. Philip odwrócił się do Jenny.

- Ta dziewczyna ciągle jeszcze jest w szoku - powiedział ciepło. - Ale nie przejmuj się. Zaraz dojdiesz do siebie. Otwórz teraz ten list i przeczytaj go sobie. Craig, co z tym szampanem?

- Zaraz będzie.

- Szkoda, że nie został - westchnęła Tina. - Wygląda na miłego faceta ten Ben. Craig popatrzył na nią z urazą. Poszedł do kuchni.

Zaczęło się otwieranie butelek, noszenie kieliszków, wyjmowanie przywiezionych smakołyków. Jenny nie brała w tym udziału. Obracała w rękę kopertę. Jeszcze trzy tygodnie temu z radości skakałaby pod sufit. Ale odczytywane teraz słowa wydawały się jej bez znaczenia, zlewały się w jedno. Philip podał jej kieliszek. Piła szampana, uśmiechając się z przymusem. Miał wytrawny, kwaśny posmak. Jej myśli krążyły wokół dzisiejszego popołudnia, ciągle miała w pamięci smak pieczonej na ognisku ryby, z uporem przypominała sobie, jak siedzieli przy ogniu i wpatrywali się w wodę. Minęło zaledwie kilka godzin...

Jakoś przebrnęła przez kolację, potakując i uśmiechając się w odpowiednich

momentach. Craig i Tina prześcigali się w opowieściach i nawet Philip, zwykle raczej wstrzemięźliwy, wypił sporo szampana i świetnie się bawił.

- Wiesz, kochanie, myślę, że po powrocie do Bostonu trzeba będzie spróbować odnowić kontakty z twoim ojcem. Zrobiłaś dobry początek, prosząc o możliwość skorzystania z domku. No i przecież ci nie odmówił. Od czegoś trzeba zacząć. - Odwrócił się do pozostałych.

- Rodzinne nieporozumienia - wyjaśnił tajemniczo. - Ale wszystko da się wyprowadzić na dobrą drogę.

Jenny odetchnęła z trudem, ale niczego nie powiedziała.

- W naszym zawodzie taki ktoś, jak Buzz Carmichael, tylko może nam pomóc - dodał, nalewając sobie szampana.

- Och, on jest twoim ojcem? - zdumiała się Tina. - Jasne, że o nim słyszałam. Zresztą pewnie każdy.

Jenny skrzywiła się i opuściła oczy na talerz. Bez przekonania dziobała widelcem w wykwintnych specjałach. Smakowały jak trociny.

Dochodziła dziesiąta, kiedy Craig i Tina wreszcie pojechali do motelu. Zaraz po ich odjeździe pozbierała naczynia, wyniosła je do kuchni. Kiedy wróciła do salonu, ogień w kominku przygasał, a Philip drzemał w fotelu. Długa podróż i alkohol, do którego nie był przyzwyczajony, zrobiły swoje. Podeszła do niego i potrząsnęła delikatnie.

- Philip, jestem okropnie zmęczona. Połóżmy się już spać. Przyniosłam ci latarkę. Twój pokój w domku gościnnym jest gotowy.

Przebudził się od razu, na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

Westchnął i podniósł się z fotela. Wziął latarkę, pocałował Jenny na dobranoc i wyszedł.

Poczekwała kilka minut, a kiedy w domku zgasło światło, szybko zarzuciła na siebie ocieplaną koszulę, wiszącą na drzwiach, znalazła drugą latarkę i po cichu wyszła na dwór. Ruszyła ścieżką prowadzącą do domu Bena.

Noc była chłodna. Zadrzała z zimna. Szła, potykając się o kamienie i wystające

korzenie. Dusiło ją w gardle. Z trudem powstrzymywała łzy.

Podeszła do jego domu. Okna były zamknięte, ale w salonie paliło się światło.

Stanąła przed drzwiami, zawahała się. Poczowała skurcz w żołądku. Wyciągnęła rękę i zastukała.

Otworzył jej ubrany w znoszone sztruksy i niebieski sweter. Wyteżyła wzrok, by w słabym świetle zobaczyć jego twarz. Popatrzyła na niego desperacko, głos jej się łamał.

- Ben, ja...

- Wiesz, zawsze pojawiaasz się o najbardziej niezwykłej porze.

Wydało się jej, że chyba się lekko uśmiechnął, ale w jego tonie zabrakło wcześniejszej miękkości.

- Chciałam ci wytłumaczyć...

- Chyba nie ma niczego do tłumaczenia. Sprawa jest dla mnie jasna. - Odwrócił się i ruszył do salonu, a Jenny za nim.

- Ale ja wcale nie wiedziałam, że oni przyjadą. Przecież to nie moja wina.

- Niczego takiego nie powiedziałem.

Stali na wprost siebie, tuż przed płonącym kominkiem.

- Ale czuję się tak podle - wybuchnęła. - To był taki wspaniały dzień, a oni wszystko popsuli.

Ben uśmiechnął się nieznacznie.

- No, może nie do końca. Zadzwoiłem do Jeda Bentona, mojego starego kumpla od wędki, i zaprosiłem go na kolację do pani McCracken. Podała przepyszne kraby. Oczywiście, nie takie, jak w Bellisario.

- Nie mów tak.

- Masz rację - przestał się uśmiechać. - Nie powinienem tego powiedzieć. -

Trzymał się z dala od niej, nie zaproponował, by usiadła. - Tak czy inaczej, jeśli niespodziewane przybycie twojego przyszłego męża popsulo ci urodziny, to... - nie dopowiedział.

- To wcale nie jest mój przyszły mąż! - wykrzyknęła i zmieszała się. Oblała się

rumieńcem i zamilkła.

- Naprawdę? On chyba ma inne zdanie - z goryczą stwierdził Ben. - Wydaje mi się, że słyszałem coś o waszych zaręczynach.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, które ja i Philip musimy przedyskutować i ostatecznie ustalić.

Zrobił krok do tyłu, jeszcze bardziej powiększając dzielącą ich odległość. Jenny spojrzała na rozrzuconą na niskim stoliku gazetę: pewnie ją czytał, kiedy zastukała do drzwi.

- Dość trudno powziąć decyzję, kiedy do końca się nie wie, czego właściwie się chce - powiedział ze spokojem.

- Dobrze wiem, czego chcę!

Popatrzył na nią sceptycznie, podszedł do kominka i oparł się o niego łokciem.

Kiedy była tutaj poprzednim razem, też stał w taki sposób. To wtedy ją pocałował, pomyślała z bolesnym ściśnieniem serca.

- Tak myślisz - wyrzekł wolno. - Dzisiaj, aż do wieczora, mnie też się wydawało, że wiem, czego chcesz.

- Uważasz, że to wszystko moja wina! Nie mam nic wspólnego z ich przyjazdem!

- Nie chodzi o ich przyjazd - wyjaśnił, nie tracąc cierpliwości. - Chodzi o twój wybór, o twoje decyzje.

Wezbrała w niej złość. Z wściekłością zacisnęła pięści.

- Nie waż się pouczać mnie na ten temat - wycodziła. - Przez dwanaście lat nic innego nie robię. Ciągłe stają przede mną kolejne problemy do rozwiązania. I tylko ja ponoszę odpowiedzialność za powzięte decyzje. Mogę liczyć tylko i wyłącznie na siebie. Wychowuję Chrisa, pracuję i studiuje. I wszystko jest na mojej głowie, każda najdrobniejsza rzecz.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział cicho. - I nie chcę umniejszać twoich zasług. Ale takie jest życie, Jenny. Stale trzeba podejmować jakieś decyzje.



Ciągle na nowo. I tak aż do końca.

- To akurat potrafię - odcięła się. - Mam wystarczającą wprawę. I wydaje mi się, że obejdę się bez twojej pomocy, sędzio Sullivan.

Nie czekając na odpowiedź, odkręciła się na pięcie i zniknęła w mroku.

Tina i Craig pokazali się późno. Jenny, wykończona po nie przespanej nocy, z trudem zachowywała pozory gościnności. Zaraz po śniadaniu cała trójka miała ruszać do Bostonu. Jenny nie mogła się doczekać tej chwili. Denerwował ją Philip, z nostalgią wspominający *espresso* podawane w Bellisario.

Skomentowała to ze zgryźliwą złośliwością, ale zaraz ugryzła się w język.

Siadali do stołu, kiedy pojawił się Chris. Popatrzył na nich ze źle skrywanym rozczarowaniem. Jenny próbowała ratować sytuację.

- Mamy niespodziewanych gości - powiedziała szybko. - Jak się bawiłeś? To jest pan Downing, pani Beckwith.

- Cześć, sportowcu! - serdecznie powitał go Philip. - Jak mijają wakacje? Założę się, że sporo łowisz.

- Trochę - odparł chłopiec.

- Dużo ryb złowiłeś? - zainteresował się Craig.

- Parę.

- Zawsze myślałam, że lubiłabym łowić ryby - pogodnie wtrąciła Tina. - Ale odstręcza mnie zakładanie robaków.

Chris zmiażdżył ją spojrzeniem.

- Nie łowią na robaki - sprostował. - Na muchy.

- O Boże! Musi być okropnie trudno je złapać.

Jenny wstrzymała oddech, modląc się w duchu, by chłopiec ugryzł się w język i nie wyskoczył z jakąś niegrzeczną uwagą, ale Philip przejął inicjatywę.

- Widzę, że musimy cię trochę przeskolić - roześmiał się.

- W drodze do Bostonu wyjaśnimy ci podstawowe sprawy.

- Odwrócił się do Chrisa. - Opaliłeś się, chłopcze. Chyba dużo czasu spędzasz

na dworze.

- Uhm.

- Chris, zjesz coś? - zainteresowała Jenny, choć w głębi duszy rozgrzeszała go. W końcu jak miał odpowiadać na takie głupie pytania.

- Nie, nie jestem głodny. Pani Hazelton zrobiła nam ogromne śniadanie - wyjaśnił i zniknął w swoim pokoju.

- Czyż on nie jest słodki - zaszcebiotała Tina. - Szczęściara z ciebie. Masz takiego wspaniałego syna.

- Tak, wiem - odrzekła, patrząc na zamknięte drzwi pokoju Chrisa i nieoczekiwanie poczuła, że absolutnie nic nie wiąże jej z tymi siedzącymi wokół stołu ludźmi.

- Niezły chłopak - potwierdził Philip. - Wprawdzie czasami potrzeba mu mocnej ręki, ale to nie problem.

Wreszcie zaczęli zbierać się do odjazdu.

- Jenny - Philip popatrzył na nią - Nie mogę już się doczekać twojego powrotu. Pamiętaj o naszych zaręczynach. Wracaj szybko, musimy zacząć coś planować. Boston wydawał się jej tak odległy, jakby znajdował się na innej planecie.

- Dziękuję za odwiedziny! - pomachała im na drogę. Kiedy zniknęli za zakrętem, zgaszona i przybita powlokła się do domu. Z pokoju chłopca nie dobiegał żaden dźwięk. Pewnie leżał na łóżku, pochłonięty lekturą swojej ukochanej książki. Chciała do niego wejść, ale rozmyśliła się. Czuła się znużona i przygnębiona. Wiedziała, co go dręczy, ale najpierw sama musiała sobie z tym poradzić.

Zabrała się za sprzątanie. Kiedy już wszystko było gotowe, przyniosła z sypialni paproć i ustawiła ją w nasłonecznionym oknie. Musnęła palcami zielone listki, przypominając sobie uśmiechnięte oczy Bena, kiedy dawał jej roślinę, delikatny pocałunek w policzek.

Czy to możliwe, że niepotrzebnie męczyła się przez te wszystkie lata, pracując, wytyczając sobie cele, wkładając w to tyle wysiłku i wyrzeczeń? I nagle to, do

czego z takim uporem dążyła, przestało mieć dla niej wartość. Przypomniała sobie pierwszy dzień spędzony tutaj, kiedy z kubkiem w ręku poszła do Bena. Przy kuchennym stole opowiedziała mu o swoich planach, nadziei na zdany egzamin i propozycję lepszej pracy. To wtedy z lekką drwiną stwierdził, że w ten sposób chce udowodnić swemu ojcu, że potrafi do czegoś dojść.

Obruszyła się wówczas, ale przecież było w tym posądzeniu ziarno prawdy. Chociaż było też coś więcej. Fascynowało ją prawo, chciała zostać prawnikiem. Godzinami potrafiła rozmawiać z Philipem o ich przyszłej, wspólnej pracy. Więc skąd teraz jej zniechęcenie i rezygnacja?

Usiadła na kanapie i zapatrzyła się na jezioro. Brakowało jej ciemnoniebieskich oczu. Jego uśmiechu. Ust, których dotyk budził w niej ogień. Tęskniła za mocnym uściskiem jego silnych rąk, obejmujących ją, przyciągających blisko, aż traciła dech. Marzyła o nich nocą, śpiąc samotnie.

Philip jest dobrym człowiekiem. Jest ambitny, ale cóż w tym złego. Możliwe, że brał pod uwagę fakt, iż była córką Carmichaela, ale ona też widziała w nim ostoję dla siebie i Chrisa. Gdyby tylko potrafił obudzić w niej tę iskrę, żar, jaki przenikał ją w ramionach Bena. Chociaż czy to ma takie znaczenie? Czy życie powinno zależeć od pocałunku, brzmienia głosu, szerokich ramion? Przymknęła oczy, oparła się wygodniej. W skroniach znów zaczynało się bolesne pulsowanie.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Otworzyła oczy. Chris stał na progu i przyglądał się jej.

- Czy my naprawdę musimy wracać? - Patrzył na nią niespokojnie, dziwnie spłoszonym wzrokiem.

Jenny wyprostowała się, zmarszczyła brwi.

- Chodzi mi o to, czy musimy wracać do Bostonu - powtórzył z naciskiem. - Musimy tam mieszkać?

- Sam wiesz, że tak.
  - Ale dlaczego? Niektórzy mieszkają tutaj przez cały rok. Ben tu mieszka. Czy my byśmy też nie mogli?
  - Muszę wrócić, żeby dokończyć studia.
  - Wiem. Ale w styczniu je skończysz, prawda? Więc potem? - Popatrzył na nią błagalnie.
  - Chris, to nie jest nasz dom. Należy do dziadka.
  - Ale prawie przez cały czas stoi pusty.
  - To niczego nie zmienia. Poza tym to dom na lato. Nie nadaje się do mieszkania w zimie.
  - Można go ocieplić. Ben by wiedział jak.
  - Są jeszcze inne względy. Po pierwsze, moja praca. Przecież wiesz, że muszę pracować. A co by było ze szkołą?
  - W Maine też są szkoły!
  - No tak, oczywiście, ale... Chris, myślałam, że rozumiesz naszą sytuację. W Bostonie mam kontakty zawodowe, znam wiele osób. Tutaj mogłabym niczego nie znaleźć.
  - Ben też jest prawnikiem, a jednak może tu mieszkać - nie dawał za wygraną Chris.
- Wzięła głęboki oddech, szukając racjonalnych uzasadnień, ale daremnie. Może dlatego, że sama zadawała sobie podobne pytania? Chłopiec stał, wpatrując się w nią badawczo.
- Jednak chcesz wyjść za Philipa, tak? - podsumował. Poczwała, że się rumieni.
  - Philip chce, żebyśmy byli razem - ostrożnie dobierała słowa. - Staniemy się rodziną, zamieszkamy razem.
  - Też mi coś - mruknął.
  - Chris, nie mów tak.
  - Chcę mieszkać tutaj - głos mu lekko zadrżał. - Skoro teraz nie mogę, to wrócę tu, jak skończę szkołę. Sam zbuduję sobie dom. Dziadek Bena opisał w swojej

książce, jak to zrobić. Dam sobie radę.

- Och, Chris, ja też bym chciała, żeby to było takie proste - westchnęła Jenny. -

Wiem, że dla ciebie to tak wygląda, ale życie jest bardziej skomplikowane.

Teraz najważniejszy jest mój dyplom. Rozumiesz to, prawda?

- Uhm - mruknął ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Chris, staram się robić tylko to, co jest dla nas najlepsze, zwłaszcza dla ciebie... - Urwała, przypomniawszy sobie propozycję Philipa, by wysłać chłopca do szkoły z internatem. Poczowała pulsujący ból w skroniach. - Porozmawiamy jeszcze o tym - obiecała. - Niedługo.

Podniósł oczy i popatrzył na nią przenikliwie. Odwrócił się i wyszedł na dwór.

Patrzyła przez okno na jego niknącą w dali sylwetkę. Z rękami wepchniętymi w kieszenie zszedł na pomost, zatrzymał się i popatrzył na wodę. Schylił się po kamień i rzucił go przed siebie.

Wieczorem, nim położyła się do łóżka, mimo wieczornego chłodu uchyliła okno. Zgnębiona, skuliła się pod kołdrą. Leżała nieruchomo, zasłuchana w ciszę nocy. Nagle, zupełnie niespodziewanie, dobiegły ją słabe dźwięki niosące się skądś dalekiej muzyki.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia Chris nie powrócił do wczorajszej rozmowy, co Jenny przyjęła z ulgą, choć zdawała sobie sprawę, że sprawa nie została dopowiedziana do końca i czeka na ostateczne rozstrzygnięcie. Wyszła się przejść. Znajomą drogą dotarła do szosy, wyjęła ze skrzynki pocztowej ulotki reklamowe. Był ładny dzień. Nie spieszyła się z powrotem. Szła wolno, przyglądając się gęstym paprociom rosnącym po obu stronach drogi. Ze zdziwieniem spostrzegła gęsty krzak mirtu. Z pewnością ktoś go tutaj posadził. Może jej mama? Z zadumą

przypomniła sobie chwile, kiedy spacerowała tędy razem z nią. Osaczyły ją wspomnienia, bolesne rozważania, jak długo już nie ma przy niej nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić w potrzebie, na kogo mogłaby liczyć. Otrząsnęła się, znów ruszyła przed siebie. To by niczego nie zmieniło. Nikt by nie ujął jej obowiązków, nie rozwiązał za nią jej problemów. Sama musi im stawiać czoło. Nic dziwnego, że słowa Bena, zarzucającego jej uchylanie się przed nimi, wyzwoliły w niej taką żywiołową reakcję. Na myśl o nim serce zabiło jej mocniej. Przypomniła sobie, jak wyglądał, kiedy widziała go po raz ostatni. Przepęlniła ją tęsknota. Przez lata umawiała się na randki, ale nie znajdowała w tym przyjemności. Denerwowała się o Chrisa, zostawionego z wynajętą opiekunką, a sama była zmęczona po dniu wypełnionym pracą. Dopiero z Philipem, którego poznała po przyjsciu do nowej pracy, nawiązała bliższy kontakt, który przerodził się w stały układ. Czasami miała wrażenie, że podstawą ich związku jest bardziej wygoda niż uczucie, przynajmniej z jej strony. Lubiła go i ceniła, ale niewiele ponadto. Nigdy nie zdarzyło się jej przebudzić z żalem, że nie ma go obok niej, czy z upragnieniem czekać nowego dnia, by go jak najszybciej ujrzeć.

A tak było z Benem.

Ale ona i Ben poruszali się w zupełnie innych światach. Tak wiele ich dzieliło. Jednoznacznie potępiał jej sposób na życie. Ostatnim razem posunął się do otwartej krytyki. Na samo to wspomnienie poczuła, że płoną jej policzki. Przyśpieszyła kroku. Zarzucał jej słabość, brak zdecydowania. Nie rozumiał problemów, z jakimi musiała radzić sobie na co dzień. Zatrzymała się nagle na środku drogi. Uderzyła ją nowa myśl. Przecież jednocześnie z takim sercem odnosił się do chłopca. W dniu urodzin obdarował ją zieloną rośliną. Przypomniła sobie, jak jego mocne dłonie przeniosły ją nad zwalonym drzewem. Kuszący dotyk jego ust, namiętych i gorących, na który odpowiadała tak żarliwie. W nocy budziła się, pragnąc, by był obok. Powoli ruszyła przed siebie. Przecież przyrzekła, że wyjdzie za Philipa.

Kiedy dotarła do domu, powitała ją cisza. Chris pewnie znów wyruszył na wyprawę do lasu. Jenny przyniosła z sypialni przywiezione z Bostonu papiery, rozłożyła je w salonie. Próbowwała zagłębić się w nie, lecz daremnie. To, co jeszcze niedawno żywo ją interesowało, naraz wydało się jej bez znaczenia. Co ją to wszystko obchodzi? Poszła do kuchni po kawę i znów z ołówkiem w ręku zasiadła przy stole.

Nie mogła się skupić. Ciągle miała przed oczami twarz Bena, powracały do niej jego słowa. Zazdrościła mu pewności, z jaką je wypowiadał. Twierdził, że właśnie na tym polega życie. Na podejmowaniu kolejnych decyzji. Przymknęła oczy, wyobraziła sobie, że znów jest w jego ramionach, czuje na sobie jego usta. Zerwała się z miejsca, przycisnęła dłonie do skroni. Marzyła tylko o jednym: pobiec teraz do niego, zapomnieć o tym, co zaszło, znaleźć schronienie w jego uścisku. Ale zdarzyło się zbyt wiele, zraniła go, choć wcale tego nie chciała. I jak odrzucić to, do czego doszła takim wysiłkiem?

Pozbierała rozrzucone papiery, ułożyła je porządknie. Z trudem powstrzymywała łzy.

Chris nie wrócił na lunch. Pewnie zabrał ze sobą kanapkę, pomyślała. Sama na siłę przełknęła kawałek chleba. Niebo, rano błękitne, teraz zaciągnęło się chmurami, a na jeziorze zaczęły podnosić się spienione fale. Wiatr coraz bardziej się wzmaczał. W Maine takie załamanie pogody nie było niczym dziwnym. Całe szczęście, że chłopiec nie wypłynął łódką. Chociaż pewnie zmarznie.

Zaniepokojona podeszła do telefonu.

- Cześć, Jenny! - rozległ się ciepły głos Adele. - Ale mamy pogodę, co? Nawet miałam zadzwonić do ciebie. Jagody zaczynają dojrzewać. Jeśli macie ochotę, przyjdźcie z Chrisem i narwijcie ich sobie. Tylko weźcie wiaderka.

- Dzięki, Adele. Z przyjemnością. Dzwonię zapytać, czy może nie ma u was Chrisa?

-U nas?

- Nie ma go w domu od jakiegoś czasu.

W słuchawce zaległa cisza. Adele z pewnością przypomniała sobie wieczór, kiedy Chris uciekł z domu.

- Stracił poczucie czasu - serdecznie zapewniła ją Adele. -Dzwoniłaś do Bena? Może wpadł do niego?

- Dobry pomysł. Tak zrobię. Dziękuję ci, Adele.

Już wcześniej o tym myślała, ale bała się zadzwonić. Wreszcie zdecydowała się, wykreciła numer, ale nikt się nie zgłosił. Odłożyła słuchawkę. Możliwe, że chłopiec poszedł do Bena. Może gdzieś pojechali albo są na dworze?

Musi wziąć się w garść. Niepotrzebnie wpada w panikę. Poczekaj do kolacji.

Jeśli do tej pory się nie zjawi, pójdzie do Bena. Chociaż chyba nie będzie takiej potrzeby.

Minęła szósta. Robiło się coraz ciemniej. Ponownie zadzwoniła do Bena i znów nikt jej nie odpowiedział. Nie, Chrisa na pewno nie ma u niego, Ben dałby jej znać.

Wyszła na dwór, zajrzała do domku dla gości, do pomieszczenia na hydrofor.

Kilka razy zawołała na cały głos, ale wiatr zagłuszył jej wołanie. Drżała, kiedy wróciła do domu. I co teraz? Może zadzwonić na policję?

Niezdecydowana, stanęła na środku pokoju. Nagle ją oświeciło. Już wiedziała, gdzie był Chris. To jasne. Jedyne miejsce, w którym mógł się schronić przed światem. Domek rybacki, do którego poszli w dniu jej urodzin. Ale dlaczego do tej pory nie wrócił? Może zabłądził w lesie, ścieżka była tak zarośnięta, że czasami wydawała się nie do przebycia. Po ciemku mógł się zgubić. Wyobraziła go sobie w środku lasu, w ciemności, zmarzniętego i przerażonego.

Już była przy drzwiach, ale opamiętała się. Wróciła do sypialni, zmieniła buty, włożyła ciepły sweter, a drugim, dla Chrisa, przewiązała się w talii, żeby mieć wolne ręce. Zabrała latarkę i wyszła w mrok.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż za dnia. Z daleka popatrzyła na dom



Bena. W oknach było ciemno. Ruszyła ścieżką wijącą się między drzewami. Początkowo szło jej nieźle. Oświetlała sobie drogę latarką, od czasu do czasu wołając Chrisa, ale odpowiadało jej tylko zawodzenie wiatru. Narastał w niej niepokój. Jednocześnie z każdą chwilą nabierała pewności, że właśnie tam znajdzie chłopca. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jeśli wyruszył z domku po południu, już od paru godzin musi się błąkać. Z trudem odganiała od siebie te myśli.

Jej niepokój niezauważalnie przerodził się w złość. Już sądziła, że sprawa z samochodem była dla niego dostateczną nauką. Czyżby nie rozumiał, że uciekając przed problemami, niczego nie rozwiązuje? Może Philip miał rację, że potrzeba mu większej dyscypliny? Kto wie, czy szkoła z internatem nie wyszłaby mu na dobre? Czy zmiany, jakie w nim zaszły, były tylko pozorne, i po powrocie do Bostonu znów odżyją stare problemy?

Nad jej głową rozległ się głuchy trzask i ogromny suchy konar z łoskotem upadł na ziemię, tuż przed nią. Jenny skamieniała z przerażenia, ze strachu zaschło jej w ustach. Bardzo ostrożnie obeszła go bokiem, chwytając się drobniejszych gałęzi, by nie stracić równowagi i nie potknąć się w ciemności. Przyświecając sobie latarką, szła dalej. Zatrzymała się dopiero przy zagradzającym drogę zwalonym pniu. Na wspomnienie tamtego ranka, kiedy Ben przeniósł ją nad przeszkodą, serce się jej ścisnęło. Z wysiłkiem, kalecząc sobie rękę, przedostała się na drugą stronę. Szybko ruszyła do przodu, przynaglana coraz gorszymi przeczuciami.

Teraz droga biegła skrajem płytkiego wąwozu. Pamiętała, że zachwycała się bogactwem roślinności, schodzącej aż do płynącego dołem strumyka. Uważnie stawiała stopy, by nie poślizgnąć się i nie zsunąć w dół. Nie miała pojęcia, jak długo już szła. Straciła poczucie czasu.

Wydawało się jej, że chatka powinna znajdować się już całkiem blisko. Zaczęła nawoływać syna, jednocześnie wpatrując się w otaczające ją zarośla. Naraz

potknęła się o wystający korzeń i upadła jak długa. Latarka wypadła jej z dłoni, poczuła przeszywający ból w kolanie. Leżała bez ruchu. Dopiero po chwili była w stanie oddychać. Usiadła. Kolano ją rwało. Nogawka była rozdarta, noga lekko krwawiła. Wychyliła się mocno przed siebie, próbując dosięgnąć leżącej latarki. W tej samej chwili w górze coś trzasnęło i potężny konar spadł prosto na nią. Potoczyła się w dół po zarośniętym paprociami zboczu.

Znajdowała się w zupełnej ciemności. To nic, prześpię się tutaj, póki nie wzejdzie słońce, kołatało jej po głowie. Tylko ten deszcz, pada i pada. Pewnie dach jest nieszczelny. Ale Ben go naprawi, zna się na takich rzeczach. Naraz wszystko wydało się jej całkiem proste. Dlaczego jeszcze niedawno była taka załamana? Przecież nie ma powodu. Kocha Bena i to wystarczy. Teraz już będzie dobrze. Już wie. Poczula ostry ból w głowie. Chyba powinna spróbować zasnąć, przestanie ją boleć. Potem usiądzie i porozmawia z Benem...

Kiedy znów się ocknęła, wstrząsały ją dreszcze. W głowie pulsował ból. Z przerażającą jasnością uświadomiła sobie swoją sytuację. Była ranna i nikt nie wiedział, gdzie jest. Z Benem łączyła ją tylko znajomość. Nie potrafiła się na coś zdecydować i odepchnęła go. W swej naiwności i głupocie sądziła, że wyjdzie za Philipa, chociaż mężczyzną, którego kocha, jest Ben. Jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała, uświadomiła sobie. Ale teraz było już za późno.

A Chris - szarpnęła się, próbując wstać, ale opadła z jękiem - Chris zgubił się w lesie. Usłyszała jeszcze zawodzenie wiatru i znów zapadła w ciemność.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, wokół niej nadal była noc. Ale teraz nie leżała na ziemi. Na policzku poczuła szorstki dotyk tkaniny, ktoś ją niósł.

- Ben? - daremnie próbowała wydobyć z siebie głos.

Znów straciła przytomność. Przychodziła do siebie i ponownie odpływała w nicość. Raz zdawało się jej, że widzi jakieś światła, innym razem tuż obok spostrzegła twarz Bena. Przyglądał się jej uważnie, w napięciu. Chciała pogładzić go po policzku, ale nie miała siły wyciągnąć ręki. Oczy się jej

zamykały, powoli ogarniało ją przyjemne ciepło.

Ocknęła się dużo później. Otulona w koce, leżała na leżance przy rozpalonym kominku. Ben przykładał jej do czoła chłodny kompres.

- Ben - wymamrotała.

Tym razem usłyszał, bo twarz rozjaśniła mu się z ulgą. Przypadł do niej.

- Jenny - Nie powiedział nic więcej.

- Chris - wykrztusiła. - Musimy odnaleźć Chrisa. On...

- Jestem tutaj, mammo.

Krzywiąc się z bólu, poruszyła głową. Chłopiec siedział obok niej razem z Blaze'em. Wyciągnęła do niego rękę, uścisnęła ją.

- Uff, nie wiedziałem, że ktoś się będzie o mnie martwić - wyszeptał, a Jenny już sama nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy pozwolić popłynąć cisnącym się do oczu łzom.

- Och, Chris... - powiedziała bezradnie. - Myślałam, że już nie będziesz więcej uciekać.

Zdumiał się.

- Ja nigdzie nie uciekałem, naprawdę. Miałem tylko parę spraw do przemyślenia. Ben powiedział, że nikt za mnie tego nie zrobi. Ten domek rybacki najlepiej się do tego nadawał. Dlatego tu przyszedłem.

Jenny rozejrzała się wokół. Dopiero teraz zobaczyła, że znajdują się w chatce.

- Ale... co się stało? - zapytała, patrząc na wpatrującego się w nią Bena.

- Musiała uderzyć cię spadająca gałąź. - Uśmiechnął się.

- Kiedy cię znalazłem, leżałaś na dnie wąwozu, z nogami w wodzie.

Popatrzyła na swoje stopy. Ktoś włożył jej ciepłe skarpetki.

- Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Dzwoniłam do ciebie, lecz nikogo nie było.

- Pojechałem do mojego biura w mieście. Potem zajrzałem do Adele.

Powiedziała mi, że poszukujesz Chrisa. Od razu pomyślałem o tym domku.

Prawdę mówiąc, nie niepokoiłem się o chłopca.

- Nie martwiłeś się?

Wprawdzie bolała ją głowa, ale jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpieczna i szczęśliwa. Ben był tuż obok niej, Chrisowi nic się nie stało, a trzaskający w kominku ogień zagłuszał wyjący za oknem wiatr.

- Nie, bo i Blaze zniknął. Byłem pewien, że poszedł z chłopcem, a przy nim Chris był bezpieczny.

- Raz trochę się zgubiłem - przyznał się Chris - ale Blaze znał drogę. Chciałem wrócić wcześniej - zmieszał się nieco - tylko że kiedy już rozpałem ogień, to jakoś zasnąłem, i Blaze też.

Ogarnęła ją gwałtowna fala czułości. Złość wyparowała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uścisnęła dłoń chłopca.

- Ale już więcej tego nie rób, ancymonku - poprosiła. Podniosła oczy na Bena, ale nie było go przy niej. Stał przy oknie ze wzrokiem wbitym w ciemność.

Kiedy po chwili się odwrócił, przeraziła się, widząc jego twarz. Unikał jej spojrzenia, zniknęło gdzieś serdeczne zatroskanie. Jakby upewniwszy się, że już nic jej nie grozi, stał się całkiem obcym człowiekiem.

To, co z taką jasnością uświadomiła sobie tej nocy, postawiło pod znakiem zapytania jej małżeństwo z Philipem. Ale Ben widział w niej chorobliwie ambitną, wyrachowaną kobietę, za wszelką cenę dążącą do realizacji własnych celów, których nawet miłość nie jest w stanie zmienić.

Chciała wykrzyknąć mu, że źle ją ocenia, wyjaśnić mu wszystko, ale powstrzymała ją jego obcość.

- Powrót do domu jest zbyt ryzykowny - zawyrokował Ben. - Wiatr nie słabnie, lepiej poczekajmy do rana. Chris, tam jest śpiwór, weź go. Tobie jest tu wygodnie? - zwrócił się do Jenny, nie wymieniając jej imienia.

- Tak - odrzekła cicho - A ty?

- Posiedzę na tym krześle. Będzie mi całkiem dobrze. Zabrakło jej odwagi, by zaproponować.

Ku jej zdumieniu Chris pocałował ją na dobranoc, co nie zdarzyło mu się od lat.

Zaszył się w śpiwór i niemal natychmiast usnął. Blaze położył się przy nim. Ben rozsiadł się na krześle i zamknął oczy. Ogień zaczął powoli przygasać, ciepłe odblaski tańczyły na ścianach.

Daremnie próbowała zasnąć. Zerknęła na śpiącego syna, uważnie popatrzyła na Bena. Mogłoby się wydawać, że stanowią rodzinę, prawdziwą rodzinę, przeżywającą niespodziewaną przygodę, którą będzie się wspominać przez lata...

Ale rzeczywistość dramatycznie różniła się od tego sielskiego wyobrażenia. Nie są i nigdy nie będą rodziną. Pozwolili, by moment, kiedy to było możliwe, bezpowrotnie przeminął. To ona go zmarnowała. Gorzkie łzy popłynęły jej po policzkach.

Przebudziła się w nocy. Ogień już prawie przygasł, za oknem dziko zawodził wiatr. Szybko zamknęła oczy. Nawet nie patrząc, czuła na sobie wzrok Bena. Stał przy niej, po chwili poszedł dołożyć do ognia i wrócił na krzesło.

W powrotną drogę wyruszyli o świcie. Jenny upierała się, że da radę iść o własnych siłach, ale Ben kategorycznie pokręcił głową i wziął ją na rękę.

Wstawał piękny, słoneczny dzień. Wiatr ucichł i tylko połamane gałęzie, leżące na ścieżce, świadczyły o wczorajszej zawiei. Kiedy doszli do zwałonego pnia, Ben postawił ją na ziemię, by znaleźć najlepsze przejście. Poczowała ostre szarpnięcie w kolanie i skrzywiła się z bólu. Spozrzegł to, ale niczego nie powiedział. Bez słowa znów ją podniósł. Policzką dotykała jego szorstkiej koszuli, słyszała równe bicie jego serca. Przebiegło jej przez myśl, że jeszcze nigdy nie była tak blisko niego -i tak daleko.

Po południu, kiedy wreszcie zdołała namówić Chrisa, by ją zostawił i popłynął sobie na jezioro, przyjechała Adele. Zostawiła w kuchni przywiezione potrawy i dołączyła do siedzącej na ganku Jenny. Z serdecznym współczuciem uzaliała się nad wypadkami wczorajszej nocy.

- Szczęście, że to się tak zakończyło. Tak już jest z dziećmi - stwierdziła, kiwając głową. - Ale nie martw się o Chrisa, da sobie radę. Z moim wnukiem

świetnie się dogadali.

- Wiesz, źle go oceniłam - wyznała Jenny. - Byłam pewna, że to kolejna ucieczka z domu - Adele współczująco skinęła głową - Obawiam się, że ostatnio zbyt często mi się to zdarza - powoli dodała Jenny. - Wydaję pochopne sądy.

- Często, mylnie oceniamy osoby, które najwięcej dla nas znaczą. - Adele popatrzyła na jezioro. - Nie zliczę, ile razy tak zrobiłam.

- Nie nabierzesz mnie - uśmiechnęła się Jenny - Ty się nie mylisz. - Potrząsnęła głową - Nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje. Zawsze wydawało mi się, że dobrze wiem, czego chcę od życia. Ale tutaj... Nagle na wszystko patrzę inaczej. Sama już nie wiem, czy to, co robię, jest dobre... I dla kogo dobre: dla mnie czy dla Chrisa?

- Wkrótce będziesz w Bostonie, może z dystansu popatrzysz na to inaczej.

- Chris też widzi różnicę - blado uśmiechnęła się Jenny. - Chce wrócić tutaj i wybudować sobie dom w lesie.

- Przypomina mi Bena, kiedy był w jego wieku.

- Chris przepada za nim. Ben dużo dla niego zrobił.

Adele popatrzyła na Jenny, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko potrząsnęła głową.

- Jenny, wierzę w ciebie. Potrafisz dokonać właściwego wyboru, czasami nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie martw się.

Gdyby żyła mama, ze ściśniętym sercem pomyślała Jenny, tak właśnie mogłaby powiedzieć...

- Adele, jesteś prawdziwym przyjacielem - szepnęła.

Odwiedziła ją następnego dnia, przywożąc jedzenie. Nazajutrz pojawiła się znowu, z zadowoleniem stwierdzając, że Jenny ma się coraz lepiej.

- W przyszłym tygodniu sąd rozpoczyna pracę - oznajmiła Adele.

- A my wracamy do Bostonu - z żalem stwierdziła Jenny.

- Wiem, ale mam przeczucie, że tu wróciście. Chris nie da ci spokoju.

Ma rację, pomyślała, zastanawiając się nad tym, kiedy Adele odjechała. Ale co z nią, co z Jenny Carver? Czy chce tutaj wrócić, czy też może wraz z końcem miesiąca zakończy się dla niej pewien okres życia?

Wieczorem w przeddzień wyjazdu, kiedy Chris w skupieniu przeglądał swoje wakacyjne trofea: kolorowe ptasie pióra, gładkie kamyki, kawałki korzeni, drogą przez las ruszyła w stronę domu Bena. Nie widziała go od tamtego ranka, kiedy przyniósł ją do domu. Jego milczenie było bardziej wymowne niż słowa. Przestała go interesować. Mimo to musiała zobaczyć go po raz ostatni. Lecz teraz, z każdym przybliżającym ją krokiem, to przekonanie słabło.

Psy zaszczekały, ale rozpoznawszy ją, ucichły i radośnie merdając ogonami, witały przyjaźnie. Teraz nawet Blaze ją polubił. Chris będzie za nim tęsknić, zasmuciła się. Zawahała się, wreszcie zebrała resztki odwagi, podeszła do drzwi i zastukała.

Otworzył jej po dłuższej chwili. Najwyraźniej oderwała go od jakichś robót domowych. Świadczył o tym trzymany w dłoni śrubokręt i robocze ubranie. Zdumiał się na jej widok, ale szybko przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Cześć - powiedział.

- Cześć.

Zapadło milczenie. Dopiero po chwili Ben szerzej otworzył drzwi. Weszli do holu.

- Właśnie wymieniam klamkę. W tylnym wejściu.

- Och, nie chciałam ci przeszkadzać...

- Nie, nic się nie stało. - Położył śrubokręt na stoliku i poprowadził ją do salonu.

- Przyszłam tylko na chwilę. - Nie usiadła. Popatrzyła na jego potargane włosy, oczy, które tak dobrze знаła, dołeczek w policzku. Serce biło jej jak szalone.

Traktował ją z obojętną uprzejmością. - Jutro rano wyjeżdżamy. Chciałam się pożegnać.

- Rozumiem - powiedział spokojnie.

- Chciałam też podziękować ci za to, co zrobiłeś dla Chrisa - dodała pośpiesznie.

- Dzięki tobie stał się zupełnie innym chłopcem.

- To świetny dzieciak. Bardzo go polubiłem.

- Poświęciłeś mu bardzo dużo czasu.

- Kiedy byłem w jego wieku, też ktoś mi pomógł - powiedział po prostu. - Dlatego wiem, jak wiele to znaczy.

Nieoczekiwanie wstąpiła w nią odwaga.

- Mnie też bardzo pomogłeś. Popatrzyłam na siebie innymi oczami. I dostrzegłam wiele rzeczy, z których nie jestem zadowolona.

- Już kiedyś ci powiedziałem, że za dużo od siebie wymagasz - Wyraźnie nie chciał ciągnąć tego tematu. - Ale jutro jeszcze nie jest pierwszy sierpnia. Wyjeżdżacie dzień wcześniej?

- Tak. Mój ojciec z macochą przyjeżdżają pojutrze. Chcę uniknąć spotkania. Popatrzył na nią uważnie.

- Chyba nadal masz parę spraw do załatwienia.

- Tak - zarumieniła się. - Może kiedyś. - Wyciągnęła do niego rękę. - No, to do widzenia.

- Do widzenia, Jenny - ujął jej rękę i przytrzymał przez moment. Kiedy ją puścił, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Jenny...

Zamarła w miejscu. Zaległa cisza.

- Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? - zapytał.

Podszedł do niej, obrócił ją ku sobie. Zdumiało ją cierpienie, jakie malowało się w jego oczach. Chciała coś powiedzieć, wytłumaczyć, naprawić to, co ich rozdzieliło, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przyciągnął ją bliżej, objął mocno. Uniosła ku niemu usta, przywarł do nich; zanurzył dłoń w jej włosach. Zarzuciła mu ręce na szyję, chcąc być jak najbliżej, topniejąc w jego uścisku. Puścił ją gwałtownie.

- Żegnaj, Jenny - powiedział i nie odprowadzając jej, poszedł w głąb domu.



Stała nieruchomo, oszołomiona pocałunkiem. Po chwili odwróciła się i wyszła w gęstniejący mrok. Psy biegły za nią aż do rozstaju, potem i one odeszły.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Powoli mijało lato, liście drzew okryły się purpurą i złotem, potem opadły i już tylko nagie gałęzie rysowały się na tle jesiennego, zaciągniętego ołowianymi chmurami nieba. Dopiero wtedy Jenny ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to już listopad. W mieście zmiany pór roku przebiegały niemal niezauważalnie. Zaprzątnięta pracą, zajęciami na uczelni i nauką, nie miała czasu na rozglądanie się wokół siebie i obserwowanie zmieniającego się świata. W dodatku prześladowało ją przeświadczenie, że wszystko, co w jej życiu było istotne, pozostawiła w Maine.

Zaraz po przyjeździe do Bostonu rozstała się z Philipem. Obraz Bena nie dawał jej spokoju. Wyobrażała go sobie w różnych sytuacjach, wspominała jego uśmiech, ton głosu, jego cudowne pocałunki. Budziła się w nocy z tęsknoty. Z determinacją odsuwała od siebie te myśli, nie pozwalając sobie na zagłębianie się w bezpowrotnie utraconą przeszłość. Dni upływały jeden za drugim, kolejne dni bez znaczenia. Z tego rytmu wytrącił ją niespodziewany telefon w połowie listopada.

- Jenny?

- Tak. Słucham.

- Mówi Grace Carmichael.

Zamarła. Nigdy nie miała okazji jej poznać. Wyobrażała ją sobie jako pedantyczną, doskonale zorganizowaną kobietę, będącą absolutnym przeciwieństwem jej spokojnej, pełnej ciepła mamy. Grace, znacznie młodsza od ojca, była lekarzem.

- Dzień dobry, Grace. Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze, tylko ciągle zapracowana. Ty pewnie też. Bardzo

żałowaliśmy, że w lecie nie spotkaliśmy się w Maine.

- Niestety, musieliśmy wracać do Bostonu. Grace przez chwilę milczała.

- Ciekawa jestem, czy może przypadkiem natrafiłaś na album ze zdjęciami?

- Album? - Przypomniała sobie pieczołowicie ułożone zdjęcia jej i rodziców.

Poczuła łzy w oczach. - Tak, widziałam go - powiedziała wolno.

- To bardzo się cieszę. Ale powinnaś go sobie zabrać, zrobiłam go dla ciebie.

- Ty go zrobiłaś? - zdumiała się Jenny.

- Tak. Ale nie martw się, przywiozłam go do Bostonu. Chciałabym, żebyś go miała.

- To... to bardzo miłe z twojej strony, Grace - wymamrotała, ze zdumieniem, stwierdzając, że głos w słuchawce jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażała, przyjazny i ciepły.

- Ale nie dlatego dzwonię. - Umilkła na moment, jakby się wahała. - W tym roku Dzień Dziękczynienia spędzamy w domu. Może byście do nas wpadli z Chrisem? Oczywiście jeśli nie macie już innych planów.

Jenny była tak zaskoczona, że zabrakło jej słów.

- Nie... nie mamy - wykrztusiła.

- W takim razie przyjdźcie, serdecznie zapraszam. Dla twojego taty to naprawdę ważne.

W coś takiego nigdy nie uwierzy. Pamięta ją jako zbuntowaną nastolatkę, wtedy nie potrafili się porozumieć. Chociaż teraz, patrząc z dystansu, widziała, że sama też nie była bez winy.

- Jeśli miałbyś ochotę przyprowadzić kogoś bliskiego, z przyjemnością będziemy go gościć - pośpiesznie dodała Grace.

- Dziękuję - szepnęła Jenny, serce ścisnęło się jej na wspomnienie Bena - Nie mam nikogo takiego.

- A więc ty i Chris? Mogę na was liczyć?

- Tak. - Zaczerpnęła powietrza. Czuła się, jak rzucona na głęboką wodę. - Przyjdziemy.

Chris przyjął tę wiadomość z radosnym niedowierzaniem.

- Naprawdę? Do mojego prawdziwego dziadka?

- Uhm. I jego żony. Nazywa się Grace.

- To do niego należy dom w Maine - zastanowił się chłopiec. - Ciekawe, czy on się zna na łowieniu ryb?

- Jasne, że tak.

- No to świetnie!

Ucieszyła ją jego reakcja, ale sama nie podzielała entuzjazmu chłopca. Od czasu powrotu do Bostonu nie potrafiła wykrzesać z siebie radości. Nic jej nie cieszyło. To, co przedtem nadawało życiu sens, naraz przestało mieć dla niej znaczenie. Wiedziała, co było przyczyną takiego stanu jej ducha: nie potrafiła zapomnieć Bena. Czasami, na ulicy, czyjaś sylwetka wydawała się jej znajoma. Serce wypełniało się wtedy nadzieją, ale zawsze okazywało się, że to ktoś obcy. Chris stał się jej jedyną radością. Od przyjazdu z Maine zmienił się nie do poznania. Nabral pewności siebie, zapisał się w szkole na kurs stolarski i do klubu turystyki pieszej. Czasami wyjeżdżał na całe weekendy i wracał do domu roześmiany i szczęśliwy.

Z obawą myślała o nadchodzącym święcie. Co powiedzieć Grace? Jak rozmawiać z ojcem? Nie mogła pozwolić sobie na kupienie czegoś nowego. Tylko Chrisowi sprawiła spodnie i sweter. Sama postanowiła włożyć spodnie z kremowej wełny, dobrała do nich odpowiedni sweterek. Do tego jedwabna apaszka z akcentem zieleni i czerwonego wina, pleciony pasek z bordowego jedwabiu. Z aprobatą popatrzyła w lustro.

Grace powitała ich ujmującym uśmiechem. Ojciec uścisnął ją serdecznie, wyciągnął rękę do wnuka. Było znacznie lepiej niż przypuszczała. Żona ojca, szczupła kobieta po czterdziestce, od razu zyskała sympatię Jenny. Łatwo nawiązywała kontakt, ciągle się śmiała.

Chris od razu przełamał pierwsze lody, zasypując dziadka pytaniami na temat

wędkarstwa. Jenny nie posiadała się ze zdumienia, że ojciec tak łatwo dał się wciągnąć w rozmowę. Twarz mu złagodniała, kiedy patrzył na wnuka. Postarzał się, spostrzegła ze smutkiem Jenny.

Rozejrzała się wokół. Wygodne fotele i kanapy łagodziły nieco nowoczesne wnętrze, ozdobione kilkoma abstrakcyjnymi obrazami i sporym zbiorem książek. Na kominku w salonie wesoło płonął ogień. W jadalni był drugi kominek, również rozpalony. Za oknami zaczął prószyć śnieg. Zasiedli przy stole. Ktoś z zewnątrz z pewnością wziąłby ich za bliską rodzinę.

- Jakim jesteś lekarzem? - zainteresował się Chris.

- Pediatrią.

- To znaczy, że leczysz dzieci, tak?

- Tak.

- Jenny, nadal wolisz ciemne mięso? - Ojciec zaczął kroić indyka. Po raz pierwszy popatrzyli sobie w oczy.

- Tak, chociaż teraz lubię prawie wszystko - uśmiechnęła się. - Życie nas tego uczy.

- To prawda, ale czasami zbyt wolno - odrzekł, nie odrywając oczu od półmiska.

- Czy dobrze mi się wydaje, że wkrótce kończysz studia? - wybawiła ich Grace.

- Chyba w styczniu?

- Tak. Takie wieczorowe studia trwają znacznie dłużej niż normalne, ale wreszcie zbliżam się do końca.

- Bardziej będziesz je cenić - rzekła Grace. - Ja zostałam lekarzem w taki sam sposób.

- Naprawdę? - szczerze zdumiała się Jenny, będąc pewna, że Grace miała prostszą drogę do życiowych osiągnięć.

- Po dyplomie zamierzasz zostać w swojej firmie - zapytał Buzz.

- Nie - odrzekła, zaskoczona faktem, że ojciec się nią interesuje. Odebrała od niego talerz. - Początkowo tak myślałam, ale zmieniłam zdanie. Ze względów osobistych. Wydaje mi się, że czułabym się źle... - Zauważyła, że Grace i ojciec

wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Domyślałam się, że chodzi o tego Boyda - powiedział ojciec z typową dla niego bezpośredniością.

- Tak... - Znów ją zaskoczył. - Philip i ja... Ale skąd o tym wiecie?

Buzz dalej kroił mięso.

- No wiesz, w naszym środowisku plotki rozchodzą się szybko.

A więc jednak obchodziło go, co się z nią dzieje.

- Rozstaliśmy się, bo wydawało mi się, że wcale do siebie nie pasujemy - wyjaśniła. - A ponieważ on jest związany z firmą, wolę znaleźć sobie coś innego.

Grace lekko dotknęła jej dłoni.

- Bardzo mądrze robisz - powiedziała. Ten niespodziewany gest wzruszył ją.

- Philip prawdopodobnie zajmie się polityką - dodała szybko. - Słyszałam, że zaproponowano mu udział w komisji ustawodawczej. Znając go, jestem pewna, że chętnie z tego skorzysta.

Jedzenie zniknęło z talerzy, za oknem sypał coraz gęstszy śnieg.

- Ale jest fajnie! - uśmiechnął się Chris, a Jenny dostrzegła, że ojciec odpowiedział mu tym samym.

- Chciałam ci podziękować za album - nieśmiało powiedziała Jenny, kiedy razem z Grace poszły do kuchni.

- Pamiętaj tylko, żeby go ze sobą zabrać.

- I za dzisiejsze zaproszenie - Jenny zaczęła wkładać naczynia do zmywarki. - Nie wiesz, co to znaczy dla Chrisa.

- Wiem, ile znaczy dla jego dziadka. Posłuchaj tylko. Z jadalni dobiegał gwar ożywionej rozmowy.

- Wiesz, zapisałem się na kurs stolarski - opowiadał Chris - Ale już bardzo dużo nauczyłem się wcześniej.

- Czy ta naprawiona półka to może twoja robota?

- Uhm. Mój przyjaciel, Ben Sullivan, nauczył mnie posługiwać się narzędziami.

- O, to ty znasz Bena?

- Tak. A ty?

Jenny poczuła, że się rumieni.

- Szkoda, że czekaliśmy na to tak długo, prawda? - zwróciła się do Grace.

Grace popatrzyła na nią uważnie.

- Bo dobrze się dwóch uparciuchów.

- Zrobiłam w życiu tyle głupstw - smutno stwierdziła Jenny.

- Kto ich nie popełnia, kiedy jest młody? No i masz Chrisa. - Grace zaczęła kroić ciasto - Buzz tyle stracił, nie znając swojego jedyne wnuczka. I będąc z dala od ciebie.

- Wiesz, doskonale pasujesz do taty.

- Też tak myślę - zaśmiała się Grace. - Odkąd go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to właśnie on. Staralam się zrobić wszystko, byśmy byli razem, by nie przegapić tej szansy. Nieczęsto zdarza się okazja, by znaleźć w życiu szczęście, prawda?

Odwróciła się, by sięgnąć po bitą śmietanę. Kiedy zaczęli się zbierać do odjazdu, śnieg przestał sypać i blady księżyc rozjaśnił niebo. Ojciec uścisnął ją mocno.

- Spotkajmy się któregoś dnia na lunchu, dobrze? - zaproponował. - Pogadamy o twojej pracy.

- I nie zapomnijcie o świętach - przypomniała Grace.

- Dobrze - potwierdziła Jenny.

W drodze do domu Chris milczał. Jenny skupiła się na prowadzeniu. Dopiero przed domem zapytała:

- No jak? Podobało ci się? Popatrzył na nią z rozjaśnioną buzią.

- Było super! Opowiem chłopakom w szkole o moim dziadku. To znaczy, powiem im tylko, że byliśmy u niego na indyku. Nie będę się chwalić, jaki jest sławny.

- No, troszeczkę możesz - uśmiechnęła się do niego. Gdy już leżała w łóżku,

przyszło jej do głowy, że powoli zaczynają układać się kolejne elementy układanki. Rozstała się z Philipem, pogodziła z ojcem, wkrótce dostanie dyplom i zostanie prawnikiem. Tylko jedno miejsce było boleśnie puste. To, które nadawało znaczenie całości.

Ani razu nawet do mnie nie zadzwonił, pomyślała. A minęło już tyle miesięcy. „Nierzęsto zdarza się okazja, by znaleźć w życiu szczęście”, przypomniała sobie słowa Grace. Skuliła się pod zimną kołdrą i wybuchła płaczem.

Spotkała się z ojcem w jeden z tych grudniowych dni, kiedy sypiący z nieba śnieg jeszcze bardziej pogłębiał wrażenie dokuczliwego chłodu. Wnętrze komfortowej restauracji, w której umówili się na lunch, wabiło ciepłą, rozbrzmiewającą gwarem rozmów atmosferą. Na jej widok Buzz podniósł się od nakrytego olśniewająco białym obrusem, zastawionego lśniąco szkłem i srebrem stolika, z pewnością stale dla niego zarezerwowanego. Na powitanie pocałował ją w policzek. To ją wzruszyło. Z pewną dumą spostrzegła, że głowy innych zwróciły się ku nim, obserwując tę scenę.

Usiedli przy oknie, wychodzącym na spowite w biały puch miasto. Kiedy uprzątnięto talerze, oboje zrezygnowali z deseru, poprzestając na kawie.

- Jesteś taka szczupła, daj się na coś namówić. Mnie Grace zabrania słodczy.

- Bardzo o ciebie dba - uśmiechnęła się Jenny. - Jesteś w świetnej formie.

Miałeś szczęście, że ją poznałeś.

- Wiem, nie musisz mi mówić. - Skinął na kelnera. - No to zamówmy coś, potem będziemy się martwić.

Kiedy już jedli deser, ojciec powiedział:

- Nie wiem, czy wiesz, że wczesną wiosną wybieramy się z Chrisem na ryby.

- Naprawdę? Bardzo się z tego cieszę. Odkąd wróciliśmy z Maine, nie poznaję go. Zupełnie inny chłopiec.

- Chyba nie tylko on się zmienił.

Jenny odłożyła łyżeczkę, popatrzyła na niego pytająco.

- Czy to takie widoczne?

- Nie, tak mi się po prostu wydaje - zbył ją. - Poza tym nie znam cię aż tak dobrze.

- Z trudem go przekonałam, że musimy wracać do domu. Za nic nie chciał.

- A ty?

- Nie bądź taki dociekliwy - uśmiechnęła się. - No więc powiem ci. Chciałam wrócić, nie po to poświęciłam tyle lat na naukę, by na koniec zrezygnować.

- To mi nawet nie przeszło przez myśl. A skoro chcesz zostać w Bostonie, z pewnością coś się dla ciebie znajdzie. Nie myśl tylko, że chcę ci coś doradzać, sama świetnie sobie radzisz. Ale czuję się winny, że przez tyle lat żyliśmy z dala od siebie. I teraz chciałbym jakoś to nadrobić. Niespodziewanie zmienił temat. - A co z Benem Sullivanem?

Oblała się rumieńcem, spuściła wzrok na obrus.

- Tato, naprawdę nie wiem...

- Dobrze, zapomnijmy o tym - machnął ręką. - To nie moja sprawa. To Grace miała przeczucie, no wiesz, kobieca intuicja, że między wami coś było.

- Chyba dobrze go znasz, co? - Ciekawość przemogła zmieszanie.

- Tak. Również jego rodzinę. Jest doskonałym prawnikiem. Zawsze wiele o nim myślałem. - Popatrzył na nią przez chwilę. - Zapomnijmy o tym, co powiedziałem. To nie moja sprawa.

- Nie, nie o to chodzi - wydusiła - Tylko że między nami nic nie zostało powiedziane. Zanim go poznałam, byłam pewna, że moje miejsce jest w Bostonie, że... - głos się jej łamał.

- A teraz zaczynasz mieć wątpliwości, tak? Powoli skinęła głową.

- Tak, chyba tak.

- Nie przejmuj się. Nie warto trzymać się czegoś rękami i nogami. Popatrz tylko, ile mnie to kosztowało, niewiele brakowało, bym utracił dwie najważniejsze dla mnie osoby.

- Cieszę się, że się pogodziliśmy, tato - spojrzała na niego oczami pełnymi łez.



- No dobrze - odchrząknął. - W każdym razie wiem, że cokolwiek zdecydujesz, to będzie właściwa decyzja.

Chciałaby być tego taka pewna jak on. Rozmowa na temat Bena znów przywołała bolesne wspomnienia. Ale on nawet nie zadzwonił. Musi wrócić na ziemię.

W weekend Chris wybierał się na wyprawę klubową. Już w piątek pojechał do kolegi, by z samego rana razem wyruszyć. Wracali w niedzielę wieczorem. Te trzy dni Jenny postanowiła wykorzystać na naukę. Rozłożyła książki.

Musiała usnąć, bo przebudził ją dźwięk telefonu. Dzwonił przedstawiciel znanej firmy prawniczej z propozycją atrakcyjnej pracy. Ojciec ją polecił. Grzecznie obiecała, że pomyśli i odłożyła słuchawkę. Jeszcze niedawno po takim telefonie byłaby w siódmym niebie, ale teraz przepełniło ją gorzkie rozczarowanie.

Myślała, że dzwoni ktoś inny... Skuliła się na łóżku.

Kiedy znów się przebudziła, w pokoju było ciemno, tylko światło lampki na biurku wydobywało z mroku przedmioty. Jenny podeszła do telefonu, z wahaniem podniosła słuchawkę i odłożyła ją. Przez kilka minut stała bez ruchu, zastanawiając się nad czymś. Potem ruszyła do szafy, wyciągnęła ciepłe wełniane spodnie i szybko zaczęła się ubierać.

Przejechała kilkadziesiąt kilometrów, nim zaczęła zastanawiać się nad tym, co robi. Powtarzała sobie, że zachowuje się jak głupia, zrywając się w środku nocy i wyruszając w podróż. Mimo to nawet nie zwolniła. Skoro jest głupia, to nic na to nie poradzi. Wszystko było lepsze niż niewiedza. Powinna była najpierw zadzwonić, każdy rozsądny człowiek by tak uczynił, ale telefon to było za mało. Musiała go zobaczyć, dotknąć go, upewnić się, czy to, co ich łączyło, jeszcze istnieje, czy też może rozwiało się wraz z upływem lata.

Jechała ciągle przed siebie, na północ. Śnieg sypał coraz gęściej, zapowiadali pogorszenie warunków.

Świtało, kiedy dojechała na miejsce. Padało trochę mniej.

Samochód jechał po świeżo spadłym, nietkniętym jeszcze białym puchu. Bolały ją ręce od ściskania kierownicy. W zimowej scenerii znajoma leśna droga wyglądała zupełnie inaczej. Z oddali zerknęła na zasypany śniegiem domek ojca, nie zatrzymując się, podjechała do Bena. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Zgnębiona opuściła głowę na kierownicę. Może przyjazd tutaj okaże się fatalną pomyłką? Może on wcale nie chce jej widzieć. Przecież gdyby coś dla niego znaczyła, zadzwoniłby.

Zebrała się na odwagę, podeszła do drzwi i zastukała. Rozległo się szczekanie psów. Wydawało się jej, że upłynęła cała wieczność, nim otworzyły się drzwi. Miał na sobie gruby szary sweter i ciemnoniebieskie sztruksy. Psy, kręcące się wokół jego nóg, radośnie machały ogonami. Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Rozpaczliwie próbowała wyczytać coś z jego twarzy.

- Nie wzięłaś ze sobą kubeczka - powiedział.

Nie odrywając od niego oczu, powoli pokręciła głową.

- Och, Ben...

- Właśnie zaparzyłem kawę. Chodź.

Zatrzymali się w holu. W milczeniu wpatrywali się w siebie. Psy skakały wokół nich.

- Jenny.

Nic więcej nie powiedział. Wziął ją w ramiona, odszukał jej usta.

- Jenny, Jenny - powtarzał, przyciskając twarz do jej szyi. Pomógł jej zdjąć puchową kurtkę, znów przytulił ją mocno. Zanurzył palce w jej włosach, gładził po plecach. - Nie wiem, dlaczego tu przyjechałaś i na jak długo, nie wiem, czy to ma coś znaczyć... Wiem tylko, że jesteś tutaj i że cię kocham.

- Och, Ben, ja też cię kocham. Dlatego przyjechałam. Nie chciałam dzwonić, musiałam cię zobaczyć. Musiałam...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jechałaś całą noc - uzalił się nad nią.

- Prawie. Nie mogłam spać. Nie mogłam przeżyć jeszcze jednego dnia bez

ciebie.

- Nawet nie wiesz, ile razy chciałem do ciebie zadzwonić.

- Och, Ben, dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo chyba jestem kompletnym głupcem.

Zarzuciła mu ręce na szyję, objęła dłońmi jego twarz, patrząc tak, jakby chciała na zawsze utrwalić ją w pamięci.

- Może poczekamy z tą kawą? - szepnęła.

Łóżko było jeszcze nie zasłane, na poduszce pozostał ślad jego głowy. Musnęła ją ustami. Zaśmiał się.

- Tak tęskniłam za twoim śmiechem - wyszeptała. - Byłeś poważny, kiedy cię poznałam, ale potem ciągle się śmiałeś. Wiesz, budziłam się w nocy i wyobrażałam sobie, że jesteś przy mnie. - Pocałowała go i przyciągnęła do siebie.

Cztery ciągnące się w nieskończoność miesiące. Dlaczego nie chciała sama przed sobą przyznać, że... Przestała już to rozważać. Poddawała się urokowi chwili, zapomniała o wszystkim. Słyszała tylko bicie swego serca i jego głos, cicho powtarzający jej imię.

Przebudziła się w jego ramionach, odszukała usta.

- Musisz być bardzo zmęczona - wyszeptał. - Masz za sobą nie przespaną noc. - Poglądził ją delikatnie.

- Nie, czuję się wspaniale. - Przeciągnęła dłonią po jego włosach. - Co zamierzałeś dzisiaj robić?

- Nic specjalnego. Odkąd wyjechałaś, właściwie nic nie zrobiłem. Bez ciebie wszystko straciło znaczenie.

Potoczyła wzrokiem po pokoju. Nigdy wcześniej tu nie była. Urządzony wygodnie, tak jak reszta domu. Mnóstwo książek, w rogu biurko.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Przez chwilę nie odpowiadał, głaskał ją delikatnie, jakby dotykiem upewniał się, że jest naprawdę.

- Chyba czułem się winny.
  - Winny? Ale dlaczego? Przecież to ja...
  - Ty nie zrobiłaś nic złego. To ja ciągle czegoś od ciebie oczekiwałem, stawiałem żądania, chciałem, żebyś w jednej chwili zmieniła swoje życie.
  - Nigdy niczego nie żądałeś.
  - Może tylko sugerowałem. Ale to też nie było w porządku. Naciskałem cię. Dopiero po tamtej rozmowie dotarło do mnie, ile wysiłku kosztowało cię posuwanie się do celu, ile trudnych decyzji musiałaś podjąć. Jakim prawem twierdziłem, że powinnaś odrzucić to, co było? Nawet ten Philip...
  - Philip to już historia - wyszeptwała. - Rozstałam się z nim po powrocie do Bostonu.
  - Och, Jenny... Już tak dawno? - Znow ją pocałował.
  - Byłem pewien, że po prostu za późno cię poznałem. Miałaś już Philipa. Ale też nocą wyobrażałem sobie, że jesteś przy mnie. Po raz pierwszy zacząłem czuć się tutaj samotny.
- Zasypiała i budziła się, a on zawsze był obok.
- A co z Chrisem? - zapytał.
  - Pojechał na wycieczkę. Zostawiłam mu kartkę, żeby w razie czego zadzwonił do dziadka.
  - Do dziadka? Żartujesz.
  - Nie, pogodziliśmy się. - Opowiedziała mu całą historię.
  - A Grace jest cudowna. Wydaje mi się, jakbym miała siostrę.
  - Buzz bardzo się zmienił pod jej wpływem. Chodziliśmy w lecie na ryby i dostrzegłem w nim różnicę.
  - Powiedz mi coś, Ben. Wtedy, kiedy znalazłeś mnie w lesie i przyniosłeś do chatki, byłeś na mnie taki zły. Myślałam, że nie chcesz mnie więcej widzieć.
  - Byłem przerażony, że coś ci się stało. Ale nie chciałem wykorzystywać sytuacji. To podstawowe prawo Sullivana...
  - Zmarnowaliśmy tyle czasu!

- Ale już więcej to się nie zdarzy - uśmiechnął się, zarzucił na siebie szlafrok i poszedł po kawę. - Zaraz zrobię śniadanie. - Podał jej kubeczek świeżo parzonej kawy. Spoważniał. - Kochanie, jeszcze jedno. Nie dręcz się przyszłością. Chętnie przeniosę się do Bostonu. Ty masz tam pracę, a ja też potrafię się poruszać w mieście. Łatwo się przystosuję.

- To niemożliwe. - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Twoje miejsce jest tutaj. Moje chyba też, powoli zaczynam dochodzić do tego wniosku. Chrisa również.

- Musiałabyś się przestawić. Chociaż tu też jest sporo pracy. Ostatnio nawet dałem ogłoszenie, że szukam współpracownika. Rozmawiałem już z dwiema młodymi prawniczkami.

Popatrzyła na niego sponad brzegu kubka.

- Zadzwoń i powiedz, że to już nieaktualne.

- Przemyślałaś to? - Przyjrzał się jej uważnie.

- Przez te miesiące o niczym innym nie myślałam. - Uśmiechnęła się promiennie na widok jego rozjaśnionej twarzy. - Poza tym będzie łatwiej przerobić nazwę twojego biura. Sullivan i Sullivan. Nieźle, co?